ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh -

ROK IX. Nr 41 (433)
NIEDZIELA, 9 PAŹDZIERNIKA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

NARÓD

Największy z dotychczasowych, X Międzynarodowy Kongres Historyków w Rzymie, był po raz pierwszy w dziejach tych zjazdów areną starcia już nie szkół historycznych, ale idej politycznych. Stało się tak dlatego, ponieważ po raz pierwszy zaproszono na Kongres przedstawicieli historiografii dialektyczno-materialistycznej, czyli historyków zza „żelaznej kurtyny". Mimo wysiłków organizatorów Kongresu, doszło, bo dojść musiało, do starcia idei wolności w nauce z ideą nauki podporządkowanej celom doktryny. Starcie nastąpiło nie na tle tematyki naukowej, lecz na podstawie zasad.

Ale i to nie wyczerpało dramatycznych spięć. Istota różnic miała jeszcze inne źródło. Kiedy prof. Oskar Halecki mówił o „Pojęciu Kościoła we wschodniej Europie po soborze trydenckim", natychmiast rozgorzała namiętna dyskusja na temat rozgraniczenia Rzeczypospolitej Polskiej, Rosji i Rusi. Kiedy jeden z przedstawicieli nauki sowieckiej szczycił się, że dała ona metodę historyczną, a z nią historię samą, licznym narodom w obrębie dzisiejszego Związku Sowieckiego, m.in. Ukrainie, Białorusi i Litwie, wybuchła burza. Przedstawiciele ujarzmionych przez Sowiety narodów, poparci przez część historyków wolnego świata, w gwałtowny sposób protestowali przeciwko wydzieraniu im ich narodowości i narodowej przeszłości. Kongres historyków dowiódł, że naród, świadomość narodowa pozostaje nadal motorem dziejów. Próby zastąpienia narodu klasą, a świadomości narodowej świadomością klasową spełzły na niczym, tym bardziej, że wprowadzenie ideologii klasowej zaczynało się wszędzie dotąd od ujarzmiania narodów.

Słyszy się często zdanie, że okres idej narodowych należy do przeszłości, zwłaszcza wobec wielkich wynalazków technicznych, rozwoju sztuki wojennej itp. Taka jest teoria. Rzeczywistość jest zupełnie inna. Druga wojna światowa zamiast zahamować, przyśpieszyła budzenie się i dojrzewanie narodów. Proces ten trwa nadal i potężnieje już nie z roku na rok, ale niemal z miesiąca na miesiąc. Nie ma już dziś bodaj na świecie narodu bez świadomości narodowej. Przebudziły się nawet narody uśpione od wielu wieków, dobijając się często do własnej państwowości. Zmieniła się może nieco treść idei narodowej, ale sama idea zapłonęła nieznanym dotąd żarem.

„Naród — pisze J. Maritain w swojej ostatniej książce pt. „Człowiek i państwo" (przekład angielski Hollis and Carter, 1954) — jest może najważniejszą, najbardziej rozwiniętą i najpełniejszą społecznością, jaką wytworzyło życie cywilizowane. W czasach najnowszych doszło do konfliktu między narodem i inną bardzo ważną społecznością ludzką, to jest klasą, i dynamika narodu okazała się silniejsza, gdyż jest głębiej zakorzeniona w naturze." Naród jest, wedle Maritaina, pojęciem etyczno - społecznym, opartym o pewien system uczuć. „Naród jest społecznością ludzi świadomych, że ich uformowała historia, ceniących własną przeszłość i kochających się wzajemnie takimi, jacy są lub jakimi się sobie wydają".

Półtorawiekowa niewola narodu polskiego, o wspaniałej tradycji historycznej, o potężnej dynamice ludności i rzadko spotykanej żarliwości uczuć narodowych, wyrządziła nam szkody straszliwe, trwające do dziś. Przez te sto kilkadziesiąt lat przecież trzy państwa zaborcze, zniszczywszy naszą państwowość, toczyły walkę z narodem polskim. Długotrwała niewola i nieustanna walka zabarwiły jednak nasze uczucia narodowe w szczególny sposób. Nie bez racji mówił Hitler, że Polacy mają swą narodowość wytatuowaną na skórze. Otóż i wiedza o narodzie wykształciła się w Polsce wcześniej i pełniej niż na Zachodzie. Pół wieku temu pisał Roman Dmowski w „Myślach nowoczesnego Polaka" to, co dziś pisze, mniej precyzyjnie, Jacques Maritain. „Są ludzie — pisał Dmowski — dla których te uczucia, pojęcia, obowiązki nie istnieją. Ale patriotyzm — to nie systemat filozoficzny, który ludzie równego poziomu umysłowego i moralnego przyjmują lub odrzucają: to stosunek moralny jednostki do społeczeństwa; uznanie go jest koniecznością na pewnym stopniu rozwoju moralnego, a odrzucenie świadczy o moralnej niedojrzałości lub upadku. W zwykłych warunkach naród wytwarza się w postaci organizacji państwowej, narzucającą obowiązki obywatelskie tym, którzy dobrowolnie ich uznać nie chcą; my tej siły nie posiadamy i dlatego tak często spotykamy się u siebie z jawnym wypowiadaniem służby ojczyźnie..."

Mimo obowiązującej w Polsce dzisiejszej doktryny nadrzędności klasy nad narodem i podtrzymywania sztucznych zaognień klasowych, nacjonalizm panuje tam mocniej i powszechniej niż kiedykolwiek przedtem. Nawet wielu gorliwych komunistów sarka przeciw „Rosjanom". Wydaje się, że jeszcze długo możemy być spokojni o oblicze narodowe Polaków w Kraju. Raczej oni dziś mogliby być naszymi sędziami w tej sprawie.

Gorzej jest z emigracją. Powtarza się tu to zjawisko, o którym przed półwieczem pisał Dmowski: brak przymusu powoduje ostudzenie uczuć narodowych, a nawet jawne odstępstwa. Chaos potęgują do reszty publicyści i politycy, którzy przeciwstawiając się ideologicznie idei narodowej sieją zamęt i apatię. Jedni z nich głoszą ideę państwową bez oparcia o państwo, przez co schodzą na manowce wykładni legalizmu lub przywiązania do takich fikcji, jak wybory na emigracji; inni głoszą ideologię klasową w imię... pięknych tradycji narodowych; jeszcze inni nie mają nawet i tych skrupułów, głosząc hasła w rodzaju: „jestem chłopem, więc powinienem nienawidzieć niechłopów".

Wszystko to próżne wysiłki; narodowości nie utrzymamy przez wykładnie i adoracje legalizmu, ani przez podtrzymywanie gasnących idej klasowych czy stanowych, ani przez kult pięknych tradycji proletariackich. Bo naród jest przede wszystkim pojęciem moralnym. Przynależność do narodu jest sprawą moralną, sprawą sumienia.

Człowiek odchodzący od swego narodu jest godny pogardy, gdyż jest to człowiek słaby, bez charakteru i poczucia obowiązku, człowiek sprzedajny, człowiek-towar. W dziecku trzeba budzić świadomość narodową, aby się nie stało w życiu nieszczęśliwym. Ludziom dojrzałym powinna wystarczyć etyka. Zachowanie narodowości, to sprawa sumienia.

J. B.

ANDRZEJ POMIAN

PODRÓŻ W CZASIE

Termometr wskazywał 96 stopni Fahrenheita w cieniu. Wilgotność powietrza wynosiła 65 procent. Niebo, poszarpane ostrymi konturami wieżowców, siało oślepiającym błękitem. Gdyby nie zimniejszy powiew od Hudsonu, ciągnący głębokimi jarami ulic, nie byłoby czym oddychać.

Było południe i tłum nowojorski wysypał się na ulice, dążąc nerwowo i śpiesznie na krótki posiłek do rozlicznych drugstore'ów. Twarze, zdradzające pochodzenie ze wszystkich niemal krajów świata, cechował jeden wspólny rys skupienia, prawie gburowatości. Wśród przygnębiającego hałasu nowoczesnego Babilonu, pomruk gromady ludzkiej najmniej dochodził do uszu. Amerykanie są hałaśliwi tylko w Europie.

— Fascynuje pana bogactwo tych typów — przerwał moją zadumę mój towarzysz — ale niech pan nie ulega złudzeniu. **Nowy Jork to nie Ameryka**. Ponad połowę tego, co pan widzi, stanowią świeży przybysze, którzy nie znają zgoła naszego stylu życia. Znajdzie pan tu więcej Irlandczyków, niż w Irlandii, więcej Żydów, niż w Izraelu, więcej bodaj Polaków — a mam na myśli emigrację powojenną — niż w Londynie. Najmniej jest tu chyba Amerykanów. Niechże pan więc nie mierzy nas miarą tego, co tu się widzi — zakończył. Przyznałem mu rację bez protestu. Niedobrze jest oponować Amerykanom. Tak mnie przynajmniej pouczali rodacy.

Zbliżała się pora następnego spotkania. Nikt tu nikomu za nic nie dziękuje, ani do nikogo się nie uśmiecha. Ekonomia odruchów dawno już nakazała redukcję tych zbędnych form europejskich „softies". Długoletnie przyzwyczajenie londyńskie zrobiło jednakże swoje. Otrzymawszy resztę od kelnerki, rzuciłem swoje „Thank you" i przybrałem twarz w uprzejmy, bezosobowy zresztą, uśmiech. Reakcja była zgoła nieoczekiwana. — You're welcome — odpowiedziała szybko dziewczyna i wynagrodziła mnie nieśmiałym, lecz czarującym uśmiechem. Amerykanie rodzaju żeńskiego zachowali jeszcze niektóre cechy kobiece.

Polacy, którzy nie celują prawdziwym poczuciem humoru, mają niezwykle silny zmysł komizmu i złośliwości. Któryś z nich określił kiedyś Londyn, jako 28 Kielc z jednym Radomiem w środku. Nie liczyłem ilości Kielc w Waszyngtonie. Po niepokojącej, lecz nowej dla Europejczyka i oryginalnej architekturze Nowego Jorku, centrum handlowe stolicy Stanów Zjednoczonych stanowi prawdziwy „anticlimax". Co jak co, ale Radom przypomina się mimo woli. Wystarczy jednakże przejść parę ulic w bok, aby znaleźć się w dzielnicy rządowej o olbrzymich utrzymanych w stylu neoklasycznym gmachach, o wspaniałych szerokich alejach, tak szerokich i tak wspaniałych, że zatrącających o nierzeczywistość. Tak sobie Hollywood wyobraża Forum Romanum, pomyślałem.

Piłem kawę w milczeniu, sycąc oczy nowym dla mnie widokiem. — **Waszyngton to nie Ameryka** — rzucił mój towarzysz, zgadując moje myśli. — Z kim ma pan tu do czynienia, z urzędnikami państwowymi — tu nastąpił pogardliwy ruch ręką kogoś, kogo stać na lepsze zarobki — z cudzoziemcami z obcych przestawicielstw dyplomatycznych, z uchodźcami zza żelaznej kurtyny, którzy pracują przeważnie w biurach, mniej lub więcej związanych z tą czy inną komórką wywiadowczą, wreszcie z Murzynami, a ci już stanowią prawie połowę ludności naszej stolicy, nie, to **nie Ameryka**...

Byłem już trochę zniecierpliwiony.

— Może mnie pan zatem oświecić — zapytałem nie bez złośliwości — **gdzie jest Ameryka?**

— Hm — nastąpiła chwila milczenia. — myślę, że musiałby pan pojechać na południe.

Mój towarzyrz wyraźnie nie był Jankesem.

— Do Texasu? — zagadnąłem.

— O nie! — akcent protestu zabrzmiał mocno i zdecydowanie. — Texas, to coś bardzo osobliwego, czego z niczym innym nie można porównać.

— Może zatem na zachód, do Kalifornii?

— No tak, tam są inni ludzie, o znacznie lepszych manierach, ale czy to jest Ameryka — wątpię, za dużo tam starego poloru hiszpańskiego.

— Luizjana, Chicago — rzucałem, milknąc szybko pod karcącym wzrokiem rozmówcy. — **Boston?** — dodałem, bliski już wyczerpania.

— Ale gdzież tam — usłyszałem żachnięcie się — czy pan naprawdę myśli, że ci zarozumialcy małpujący Anglię i Anglików, to Amerykanie?

Zmieniłem temat. Doszedłem do przekonania, że Ameryki w takim sensie, w jakim my używamy słowa kraj, nie ma. Jest za to kontynent, o niewidocznych wprawdzie, lecz wcale wyraźnych granicach wewnętrznych. Nie pojechałem więc ani do Texasu, ani do Kalifornii, ani nawet do Bostonu. Pozostałem w Waszyngtonie i obłożyłem się statystykami. Ameryka żyje bowiem najjaskrawiej — w liczbach.

*

Drzwi się same otwierają — Oj......
Gdy je z całej siły pchają — Oj......

Tak brzmiała nasza piosenka dziadowska. W Ameryce, w której zresztą nie brak nowoczesnych polskich „dziadów", drzwi się często otwierają, choć nie pcha ich żadna ręka: zastępuje ją niewidoczna komórka fotoelektryczna. Na każdym kroku uderza przybysza niezwykła wprost pomysłowość techniczna, która czasami jest tylko nowością, wprowadzoną dla przykucia uwagi, ale najczęściej olbrzymim ułatwieniem codziennego życia. Czy się wejdzie do olśniewającego miasta w mieście, którym jest Rockfellerowskie Centrum w Nowym Jorku, czy do pierwszego z brzegu sklepu żywnościowego w Waszyngtonie, do zakładu szewskiego, reperującego obuwie na poczekaniu, czy do przeciętnego domu amerykańskiego, wyposażonego w telewizję, w najnowocześniejsze lodówki, w aparaty klimatyzacyjne, które latem chłodzą i suszą, a zimą grzeją, wszędzie odnosi się to samo wrażenie. To, co się ogląda w Londynie na wystawie, jako przedsmak przyszłości, jest tutaj chlebem codziennym. Ameryka jest cywilizacją technokratyczną na poziomie, który Europa Zachodnia osiągnie za jedno — dwa pokolenia, a Europa Wschodnia za lat sto, lub dwieście. Podróż przez Atlantyk jest podróżą nie tylko w przestrzeni, ale również i w czasie. Lądując w Nowym Jorku, przebywamy zarazem trzy tysiące mil i lat przynajmniej trzydzieści, by znaleźć się w świecie naszych wnuków. Technokracja, połączona z niewyczerpanym bogactwem surowców i źródeł energii — oto tajemnica niebywałej zamożności amerykańskiej. Każdy niemal Amerykanin przyczyn rozrostu swego kraju szukać będzie w systemie „free enterprise". Znakomitą ich większość sama wzmianka o nacjonalizacji przyprawia o mdłości, a słowa „socjalizm" używa się tutaj do straszenia dzieci i nie-dzieci. Europejczyk, zwłaszcza taki, który ma świeżo w pamięci osiągnięcia społeczne w Anglii, zachowa jednakże na ten temat swoje własne zdanie. Jest wprawdzie jeden Rzym, prowadzi doń jednak więcej dróg, niż jedna.

Ale i Amerykanin mógłby przytoczyć nie jeden argument na usprawiedliwienie swej doktryny. Socjalizm był dzieckiem krajów, które stanęły wobec zjawiska chronicznego niedostatku. Nędza mas towarzyszyła bogactwu nielicznej warstwy posiadającej. Socjalizm, a mam tu na myśli nie tylko marksizm, ale wszystkie doktryny, głoszące zasadę gospodarki planowej, znalazł na to lekarstwo w postaci państwowego robin-hoodyzmu: zabrać od niektórych, by obdzielić wszystkich. W Ameryce nie brakło chleba dla nikogo, kto był chętny i zdolny do pracy. A gdy kryzys ekonomiczny z lat trzydziestych dostarczył dowodu, że egoistyczna polityka kapitału prowadzi do masowego bezrobocia, „New Deal" Roosevelta dał na to odpowiedź w objęciu przez państwo kontroli nad gospodarką narodową i we wprowadzeniu zasady sprawiedliwego zarobku (Fair Labour Standards) dla robotników, bez potrzeby uciekania się do środków bardziej drastycznych. Nie zakończyło to bynajmniej walki klasy robotniczej o lepszy byt, ba stanowiło właściwie początek jej najskuteczniejszego etapu, ale zatarło znakomicie ostrość konfliktu między pracodawcami a pracownikami. Ameryka w tej, jak i wielu innych dziedzinach, wykazała raz jeszcze niechęć do skrajności. I to jest może najbardziej zaskakująca cecha kraju, który lubuje się skądinąd w natarczywej jaskrawości superlatywów. Gdy chodzi jednak o sprawy poważne, Amerykanie podświadomie szukają rozwiązań umiarkowanych. Przybysz, który dziwi się na początku, że Amerykanie, tak różni od Brytyjczyków, mówią językiem, bardzo zbliżonym do angielskiego, po nieco dłuższym pobycie odkrywa niespodziewanie w życiu amerykańskim głęboki podskórny nurt anglosaski.

Bez wprowadzenia socjalizmu, choć bez wątpienia nie bez dobroczynnego wpływu tego, co w doktrynie jego stanowi trwały nabytek ludzkości, robotnik amerykański osiągnął poziom życia, o którym jego kolega europejski nie może nawet jeszcze marzyć. Przeciętny roczny zarobek robotnika w Stanach Zjednoczonych wynosi obecnie 3.899 dolarów; w Detroit osiąga on zawrotną sumę 5.057 dolarów; najniższy przeciętny zarobek roczny, a mianowice w Portland w stanie Maine w Nowej Anglii sięga sumy 3.183 dol.(1)

Przykład amerykański uczy, że wartość systemu gospodarczego musi być oceniana wedle warunków lokalnych. Szukanie jednej jedynej uniwersalnej formułki gospodarczej, która we wszystkich krajach, bez względu na warunki, zapewni każdemu dostatnie życie, wiedzie prostą drogą do zapanowania metody nad celem. Abstrakcyjny uniformizm jest smutnym przykładem, na jakie manowce prowadzi inteligencja, nie wsparta doświadczeniem i pozbawiona rozsądku.

Po pierwszym oszołomieniu wieżowcami, lodówkami, komórkami fotoelektrycznymi i — statystyką, spotykać zaczynają jednakże Europejczyka bolesne rozczarowania. Cywilizacja europejska, nawet w Anglii, ciągle jest jeszcze zapatrzona we wzory antyczne i do sprawy ducha przywiązuje wagę niemniejszą, niż do spraw ciała. Minęły już może czasy, kiedy adwokaci rządzili niepodzielnie Francją, a profesorowie nadawali główny ton życiu Niemiec. Humanistyka jest nadal jednakże w Europie wysoce szanowaną gałęzią wiedzy. W Ameryce robotnik wykwalifikowany zarabia więcej, niż profesor uniwersytetu. Wszystko, do czego można przyczepić etykietkę: „scientific" góruje nieprzeparcie nad wartościami, które biedny europejski humanista przyzwyczaił się widzieć na ołtarzach. W Ameryce nie brak, oczywista, wspaniałych muzeów: są one wielkie, nowoczesne, wyposażone w najlepsze obrazy wszystkich epok i krajów i... przeważnie puste. Liczny jest zastęp znakomitych powieściopisarzy, dramaturgów, poetów. Ale pospolitemu pismakowi, obdarzającemu czytelników niewybrednymi plotkami, powodzi się znacznie lepiej, niż świetnemu pisarzowi, a dobry malarz, jeśli chce mieć nie tylko uznanie, ale także i trochę dolarów, musi się zabrać do tzw. „commercials". Księgarnie, kioski, nawet drugstore'y pełne są książek. Mnogość wydań klasyków i nieklasyków rzuca się w oczy. Z tej obserwacji jeden z moich przyjaciół wysnuł pośpieszny wniosek o potędze nurtu intelektualnego w Ameryce. Jakżeż zwodnicze są te pozory! Stany Zjednoczone w ogólnej produkcji książek zajmują wprawdzie na świecie trzecie miejsce po Anglii i Niemczech Zachodnich, jeśli się jednak uwzględni ilość mieszkańców — biją one w Europie tylko... Irlandię. Polska na głowę ludności drukuje prawie trzy razy więcej, Anglia — przeszło pięć razy! Biblioteki publiczne w Stanach Zjednoczonych to przeważnie okazałe gmachy nowoczesne. Przy bogatym ich wyposażeniu, czytelnictwo jest jednakże w gruncie rzeczy małe. Sami Amerykanie przyznają, że jest ono najniższe ze wszystkich krajów anglosaskich i sięga ledwie jednej trzeciej tego, co jest w Anglii.(2) Reporter, fotograf, scenarzysta filmowy, a nade wszystko autor tekstów telewizyjnych — oto dostawcy wzruszeń „artystycznych" dla przeciętnego Amerykanina. We wspaniałych wieżowcach, w najnowocześniejszych „apartment-housach", w najluksusowszych willach, czy domach robotniczych, życie duchowe bije jednakim i wątłym tętnem.

To zwichnięcie równowagi pomiędzy naukami ścisłymi a humanistyką, daje zgoła nieoczekiwane wyniki. Chuliganizm w skali, o której Europejczyk nie ma pojęcia, jest plagą miast i młodzieży amerykańskiej. Wśród osób, aresztowanych w r. 1953 za przestępstwa przeciwko własności, połowa nie skończyła 21 lat. Złodzieje aut rekrutują się w 54 procentach wśród młodzieży: jedna trzecia z nich nie osiąga nawet lat 16. Poprzez więzienie amerykańskie przechodzi rocznie ok. 100.000 chłopców i dziewcząt. Statystyka morderstw przechodzi wyobraźnię Europejczyka. Na 50 milionów mieszkańców Zjednoczonego Królestwa przypada rocznie ok. 150 morderstw. W Ameryce, liczącej 165 milionów, a więc nieco więcej, niż trzy razy tyle ludności, ofiarą morderstw pada rocznie ponad 7.000 osób tj. prawie pięćdziesiąt razy więcej. Ilość aresztowanych sprawców wyraża się liczbą ok. 2.000 rocznie tj. nie sięga nawet ⅓ ogólnej ich ilości. (3)

Zestawienie to mówi samo za siebie. Nie świadczy też korzystnie o sprawności policji amerykańskiej.

Tych ciemnych stron życia amerykańskiego można by znaleźć więcej. Od czasu do czasu czyta się w prasie tutejszej o przesadnej gorliwości służby bezpieczeństwa, która potrafi się zdobyć na wyczyny, zupełnie nie do pomyślenia np. w Anglii. Ale sam fakt, że prasa wydobywa na jaw wszystkie nadużycia, a opinia publiczna potępia je nieodmiennie i zmusza niechętnych biurokratów do naprawienia błędów i niesprawiedliwości, mówi nam za siebie. Totalizm dojrzewa bowiem tylko w mrokach milczenia i lęku. Wolna prasa, a w Ameryce jest ona zupełnie wolna, jest pierwszą gwarancją demokracji.

Od „złotych" czasów gangsterstwa upłynęło nieco ponad dwadzieścia lat. Jeśli się z nimi porówna stan obecny, postęp ku dobremu jest wręcz olbrzymi. Ameryka pod wielu względami daleka jest od ideału, ale widzi swe braki i nadrabia je w prawdziwie amerykańskim tempie.

*

Każdy Polak, nawet Hemar, jest politykiem. Niechżeż i mnie zatem będzie wolno pod koniec popolitykować.

Po pierwszych tygodniach cielęcych zachwytów pogenewskich, nastąpiło tutaj wyraźne otrzeźwienie. Polityka amerykańska czeka obecnie na konferencję październikową i od jej wyników uzależnia dalszą taktykę.

Mimo uczucia bolesnego zawodu wśród tych wszystkich w Europie, którzy nie myślą jeszcze o kapitulacji przed komunistycznym wydaniem ekspansji rosyjskiej, Genewa nie była jednakże dla bacznego obserwatora niczym naprawdę nowym. Od lat kilku stało się już rzeczą jasną, że Rosja nie zaryzykuje wojny z Ameryką. Nie powinno też było budzić wątpliwości, że Ameryka ze swej strony nie zaryzykuje wojny z Rosją dla wyparcia jej z terenów, zdobytych w ostatnich kilku latach siłą, podstępem, czy oszustwem. „Liberation", które tyle zachwytów wywołało ongiś wśród nieuleczalnych optymistów, było najpierw propagandowym hasłem wyborczym, a następnie hasłem dywersyjnym w zimnej wojnie, nigdy jednak, ani przez moment, nie miało konkretnej treści politycznej. Genewa nie była więc jego pogrzebem, gdyż twór ten nie doczekał się nigdy żywych narodzin. Była natomiast próbą, co prawda dla Zachodu niefortunną, wyciągnięcia konsekwencyj z dwustronnego zdania sobie sprawy z niedorzeczności wojny w epoce atomowej.

Nikt rozsądny wśród Polaków nie mógł spodziewać się po niej rozwiązania naszego problemu, nawet ci, którzy publicznie mówili co innego, ulegając nieszczęsnej, rozpowszechnionej wśród nas niestety, manii propagandowej. Powiedzmy to sobie otwarcie, że niepowodzenia, które nas nieodmiennie spotykają, są także i naszą własną winą, nie umieliśmy się bowiem dotychczas zdobyć na żadną rozsądną koncepcję polityczną, mającą szanse realizacji. Powtarzanie starych komunałów o cierpieniach i krzywdach nie trafia już nikomu do przekonania i znajduje drogę chyba tylko do kosza. Nic dziwnego, że w braku czego innego, w planach amerykańskich nastąpił nawrót do Jałty, tj. do prób pokojowego wymuszania na Rosji wykonania przyjętych zobowiązań. Oto jest maksymum tego, czego Polacy w obecnej sytuacji mogą się spodziewać od Amerykanów. Najwpływowsze osobistości polityczne w obecnej administracji, do których należy np. ambasador amerykański w Moskwie — Bohlen, spiritus movens Genewy, nie kryją się z poglądem, że poza Jałtą, nie widzą żadnego innego praktycznego rozwiązania. Czas jest wielki, abyśmy spojrzeli nareszcie trzeźwo na rzeczywistość.

Rzeczywistość ta, aczkolwiek nie wróży rychłego spełnienia naszych celów narodowych, nie uzasadnia jednakże nastrojów przygnębienia czy rozpaczy. Przy dzisiejszym rozwoju techniki nikt nie może zaręczyć, że bronie atomowe, które są obecnie monopolem Stanów Zjednoczonych, Rosji i po części — Wielkiej Brytanii, nie zostaną wyprodukowane za lat dziesięć czy piętnaście przez inne kraje, np. Indie czy Chiny. Któż wtedy będzie miał pewność, że jakiś nowy szaleniec w rodzaju Hitlera, nie zaryzykuje ich użycia dla dogodzenia swym ambicjom? Niedorzecznością jest już nie wojna atomowa, lecz taka sytuacja polityczna, która uniemożliwia jednolitą skuteczną kontrolę międzynarodową nad środkami masowego zniszczenia na całej kuli ziemskiej.

Taka sytuacja nie może trwać wiecz-

(Dokończenie na str. 2)

JÓZEF PŁOSKI

X MIĘDZYNARODOWY KONGRES HISTORYKÓW

Nowoczesny, lśniący świeżością pociąg nowozbudowanej kolejki podziemnej w Rzymie w ciągu kilkunastu minut przewozi z centrum miasta (Stazione Termini) daleko ku Kampanii, gdzie wśród krajobrazu obramowanego wzgórzami, wśród kęp palm i pinii, rozciągają się szeroko rozplanowane tereny wystawowe (E.U.R.). Małe autobusy kursują po labiryncie ulic między bijącymi białością ścian gmachami, w których linie „modern" zharmonizowane są z otoczeniem. Dziwna lekkość konstrukcyjna, osiągnięta przy użyciu stalowych powiązań dyskretnie ukrytych wśród szkła i sztucznego marmuru, nadaje budynkom wygląd bardzo nowoczesny, połączony z klasycznym umiarem rytmu. W centralnie położonym budynku wystawy, wewnątrz hali wejściowej pełnej słońca i powietrza, widnieje napis: „X międzynarodowy kongres historyków".

Z autobusów wysypuje się bardzo niejednolicie wyglądająca publiczność. Obok swobodnych Włochów i oliwkowatych Hiszpanów idą sztywni profesorowie niemieccy; za bardzo licznymi Francuzami (w sumie 450 osób) idą mniej liczni przedstawiciele świata sowieckiego w liczbie 24. Stosownie do niepisanego protokółu dyplomatycznego delegacje z krajów podbitych przez Sowiety były odpowiednio mniejsze. Z Czechosłowacji przybyło 6 historyków, a z Bułgarii tylko 1.

Polska była reprezentowana podwójnie: przez historyków z Kraju i poza Krajem. Z Polskiego Towarzystwa Historycznego na Obczyźnie był gen. dr M. Kukiel i dr L. Koczy z W. Brytanii, prof. O. Hałecki i prof. W. Lednicki ze Stanów Zjednoczonych oraz ks. prałat W. Meysztowicz z Rzymu. Oprócz nich na posiedzeniach kongresu było obecnych dużo Polaków, przeważnie księży rzymskich, ale i świeckich, wśród nich prof. Władysław Kujawski, sekretarz „Antemurale". Z historyków krajowych przybyła na kongres delegacja 12 profesorów z prof. Kazimierzem Tymienieckim, prof. Henrykiem Łowmiańskim, prof. S. Kieniewiczem, prof. B. Leśnodorskim na czele. Tematów polskich nie brakowało na kongresie. Najbardziej oczekiwanymi relacjami polskimi było „Les origines de la societe et l'Etat Polonais" (Powstanie społeczeństwa i państwa polskiego) wygłoszone przez prof. Tymienieckiego i Gieysztora oraz „The Idea of Church in Eastern Europe after the Council of Trent" (Idea Kościoła we Wschodniej Europie po Soborze Trydenckim) prof. Haleckiego.

Te raporty zgromadziły chyba największą ilość polskich słuchaczy, ale również wzbudziły duże zainteresowanie cudzoziemców. Zauważono jednak z pewnym zdziwieniem tendencje lekceważenia przez prof. Gieysztora znaczenia przyjęcia chrześcijaństwa w Polsce. Źle się stało, iż kilka osób z polskich historyków z Londynu nie mogło wziąć udziału w kongresie. Nie pojechała ani prof. Lanckorońska, ani prof. Paszkiewicz, którego książka „Origin of Russia" była przedmiotem dużego zainteresowania i ozdobą stoiska Polskiego Towarzystwa Historycznego na Obczyźnie. W obszernych salach rozstawiono szereg stoisk różnych instytucji naukowych i wydawniczych świata. Opodal Papieskiego Instytutu Naukowego znalazły miejsce liczne stoiska sowieckie, załadowane zresztą bądź oficjalnymi historiami Rosji i różnych „republik", jak i czysto propagandowym materiałem. Polacy z przykrością oglądali na stoisku sowieckim śliczny album fotografii (pewnie Bułhaka) Wilna z napisami w języku litewskim.

Stoisko reżymowej Polskiej Akademii Nauk nie przedstawiało się zbyt imponująco. Wbrew oficjalnej propagandzie o rzekomym rozwoju nauk w obecnym ustroju, nie zdobyto się w ciągu ostatniego dziesięciolecia na wydanie wielu dzieł naukowych. Był wprawdzie tom wydawnictwa „Volumina Legum" zawierający konstytucje sejmu grodzieńskiego i wydanie naukowe „Kroniki Galla Anonima", ale to ostatnie dzieło było jeszcze wydawnictwem tak zasłużonej, a zniszczonej przez reżym Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Powstała na jej miejsce Polska Akademia Nauk pod naukową firmą prowadzi zwykłą działalność propagandową, której jaskrawym dowodem była wystawiona na widocznym miejscu ostatnio wydana książka niejakiego Kalabińskiego „Antynarodowa polityka endecji w latach rewolucji 1905-1907", dzieło tak pełne zniekształconych tekstów i przemilczeń, tak nie naukowe w terminologii i określeniach, że po prostu przynosi wstyd instytucji chcącej uchodzić za „akademię".

Natomiast stoisko z dumnym napisem: „Societas Historica Polonica in Exteris" mogło być przedmiotem dużego zainteresowania cudzoziemców i bardzo dobrze reprezentowało naukę polską, która wbrew pesymistycznym przewidywaniom emigracyjnym wcale nie zamiera, lecz przeciwnie zdobyła się na wiele dzieł o dużym znaczeniu historycznym. Lista tytułów wystawionych wynosiła 134 pozycje, a wśród nich dzieło ks. Dvornika (Czecha, ale wydane przez Polish Research Centre w Londynie) „The Making of Central and Eastern Europe", prof. Haleckiego „Limits and Divisions of European History", prof. Paszkiewicza „Origin of Russia", J. Kucharzewskiego „Origins of Modern Russia", prof. Żółtowskiego „Border of Europe", gen. Kukiela „Czartoryski and European Unity", Sz. Konarskiego „Kanoniczki warszawskie", żeby wymienić tylko najważniejsze. Do ciekawych przyczynków wystawionych na stoisku należało niewątpliwie ks. prof. Meysztowicza „Poselstwo Mieszka I do Abderamana III Kalifa Kordoby w 955 roku", jak też B. Szczęśniaka „Slavonic Books in the Pei-Tang Library in Peking", świadczące o dawnych i bardzo egzotycznych kontaktach kulturalnych. Stoisko Towarzystwa Historycznego ściągało dużą ilość zwiedzających, wśród których na otwarciu oficjalnym kongresu był włoski minister oświaty Rossi. Przedstawicielka „Veritasu" na Rzym, pani Zofia Bułhak-Jelska, oprowadzała dostojnego gościa i przez cały czas trwania wystawy wraz z pomagającymi jej osobami dokładała wszystkich starań, aby polska nauka na obczyźnie dobrze się zaprezentowała.

Kongres był nadzwyczaj starannie i przewidująco rozplanowany przez gospodarzy, których trudno byłoby przewyższyć w uprzejmości i gościnności. Zmęczeni obradami i raportami uczestnicy mogli odpoczywać w przewiewnych atriach gmachu lub pokrzepić się w dobrze zaopatrzonych kawiarniach i bufetach. Pomimo że kongres odbywał się w Rzymie, nie język gospodarzy, ale francuski dominował. Przez grzeczność używali go sami gospodarze, a nadto bardzo liczni Francuzi, Belgowie, Kanadyjczycy, nie mówiąc o Rumunach, większości Polaków i innych. Niemiecki był na drugim lub trzecim miejscu, wyprzedzając chyba angielski. Historycy sowieccy wzorem swych dyplomatów woleli używać rosyjskiego, czyniąc tym swoje tłumaczone na francuski raporty trudniejszymi do zrozumienia. Piszący ten artykuł był m. in. na relacji prof. Pankratowej o historiozofii. W długich wywodach naszpikowanych ideologią sowiecką uczona, o wcale nie powabnym wyglądzie, robiła właściwie wykład propagandowy. Szereg mówców, w tym ks. prałat Meysztowicz, w dyskusji (ograniczającej każdego uczestnika do 5 minut) wskazało na ogromny brak w jej referacie przez oderwanie historii od związku z religią. W ostatnim słowie Pankratowa „kajała" się z nieznajomości filozofii historii Benedetto Croce, zapowiadając, że zacznie go teraz studiować.

Związek historii z religią i myślą religijną był podkreślony od początku przez przemówienie inauguracyjne senatora prof. Aldo Ferrabino, który w nader wnikliwy sposób zanalizował kryzys dzisiejszej myśli ludzkiej. Również przemówienie papieskie do uczestników kongresu ten temat miało za przedmiot.

Już od wczesnego popołudnia na placu św. Piotra zaczęli się gromadzić ludzie oczekujące zapowiedzianego przyjazdu Ojca świętego z Castel Gandolfo. Papież przerwał pobyt w swej letniej siedzibie, aby w Auli Błogosławieństw udzielić posłuchania kongresowi. Wpuszczani za zaproszeniami po imponujących Schodach Królewskich historycy wchodzili do Watykanu. Sala była szczelnie zapełniona. Zgromadziła chyba ponad 1500 osób. Przybywa siedmiu kardynałów: Tisserant, Pizzardo, Masella, Ruffini, Cicognani, Canali i Ottaviani, sekretarz stanu arcybiskup Tardini, szereg wysokich dygnitarzy watykańskich. Są obecni przedstawiciele korpusu dyplomatycznego z ambasadorem Polski i dziekanem korpusu, Kazimierzem Papée na czele. W przodzie sali cały szereg osób we frakach, wyorderowanych.

Z chwilą ukazania się niesionego na sedia gestatoria Ojca świętego rozlegają się powitalne oklaski, które nie milkną na całą długość sali podczas przemarszu orszaku. Papież Pius XII wygląda na zmęczonego. Siwizna przyprószyła wyraźnie głowę. Jednak przemawia głosem mocnym. Siedząc na tronie w otoczeniu prałatów i gwardii szlacheckiej Ojciec święty wygłasza w języku francuskim 35 minutowe przemówienie „Kościół i historia". Papież zaczyna od stwierdzenia, że sam Kościół jest faktem historycznym, że żywot ziemski Zbawiciela, ukrzyżowanie i zmartwychwstanie jest jednym z najlepiej historycznie udowodnionych faktów. W związku z problemami historii Pius XII zanalizował aspekt Kościoła, stwierdzając, iż „pozostając w swej istocie tym samym, niezmiennym w swej konstytucji i strukturze, danej mu przez samego Założyciela, Kościół przyjął i przyjmuje elementy, których potrzebuje lub które uważa za użyteczne dla swego rozwoju i działania". Jak się wyraził Papież, „Kościół potrafi być wszystko obejmującym i również okazać się niezłomnie surowym". Zaprzeczając, by Kościół był związany wyłącznie z jakimiś kulturami czy epokami (nawet średniowiecza nie można uznać za par excellence katolickie) Papież przeszedł do stosunków między Kościołem a państwem. Powiedział tu dosłownie:

„Władza polityczna nigdy nie miała godniejszego zaufania wspierającego, ponad to, którego udziela jej Kościół, ponieważ Kościół katolicki opiera autorytet państwa na woli Stworzyciela, na prawach Bożych. I dlatego, że Kościół przyznaje pewną wartość religijną władzy publicznej, sprzeciwia się on arbitralności państwa i tyranii w każdej formie." A dalej Najwyższy Pasterz mówił: Kościół i państwo są niezależnymi władzami, ale to nie oznacza, żeby mogły wzajemnie się ignorować, a tym bardziej być ze sobą w konflikcie. Jest bardziej w zgodzie z naturą i Boską wolą, żeby ze sobą współpracowały w zgodnym porozumieniu, skoro działalność jednego i drugiego odnosi się do tego samego przedmiotu, to jest do katolickiego obywatela. Wypadki pewnych starć pozostają możliwe, lecz gdy prawa państwa gwałcą prawo Boże, Kościół ma moralny obowiązek im się sprzeciwić.

Zauważywszy, że cały świat dzisiejszy wskutek działania elementów zawartych w nowoczesnej wiedzy i technice będzie przedmiotem wstrząsów w historii ludzkości, Papież nawoływał, aby unifikujące siły moralne i religijne wywarły swoje dobroczynne wpływy. Przemówienie swoje Pius XII zakończył wezwaniem, aby wiedza w poszukiwaniu prawdy nie dała się unieść pobocznym motywom. Błogosławieństwo papieskie zakończyło audiencję. Żegnany znów oklaskami Papież został poniesiony ku loggiom, by pobłogosławić dający o sobie znać okrzykami tłum wiernych na placu św. Piotra.

Podczas przenoszenia przez salę Ojciec święty był przez moment o metr od piszącego te słowa. Jakże żałowałem, że aparaty fotograficzne są zabierane u wejścia. Audiencja była znakomitym wydarzeniem, które znalazło godne miejsce w prasie. Niech mi wolno będzie tu przytoczyć wypowiedziane z głębokim przekonaniem słowa gen. Kukiela, gdy opuszczali Watykan: „Jakie to piękne! XVI wiek!" To mówił Europejczyk-historyk.

Niezmiernie ważnym wydarzeniem naukowym była też wystawa dokumentów z archiwów watykańskich, zorganizowana dla uczczenia tak znakomitego zjazdu historyków. Pokazano wiele ciekawych dokumentów, w tym listy wielu królów i władców, m. in. listy Napoleona. Dwa dokumenty stanowiły clou wystawy: jeden to dyplom cesarza Ottona I z 962 roku, pisany na pergaminie, zawierający uroczyste uznanie praw Stolicy Apostolskiej. Pergamin jest czerwonawy o złoconych brzegach. Drugi dokument, szczególnie ważny dla świata anglosaskiego, to petycja do papieża z 1530 roku, zawierająca prośbę o rozwiązanie małżeństwa Henryka VIII z Katarzyną Aragońską. Jak wiadomo z historii, odmowa takiego rozwiązania (bo rozwodów nie ma w Kościele katolickim nawet dla królów) była przyczyną zerwania przez Henryka VIII związku Anglii z Kościołem rzymskim i założenia kościoła anglikańskiego. Dokument zaopatrzony jest w 85 pieczęci magnatów angielskich. Ważny ten papier ostatnio zaginął i dopiero niedawno został odnaleziony. Sto kilkadziesiąt wybranych dokumentów daje znakomity obraz historyczności i uniwersalności Kościoła, z którego głową suwereni wszystkich czasów i narodów wymieniają korespondencję. Do najbardziej egzotycznych dokumentów należy niewątpliwie list chińskiej cesarzowej Heleny, która stawszy się chrześcijanką składa hołd papieżowi Aleksandrowi VII.

Wystawa watykańska musiała uczynić duże wrażenie na niekatolickich uczestnikach kongresu. Trzeba jednak podkreślić, że nie tylko sowieccy historycy nie poszli na audiencję papieską, ale także, posłuszni, inni delegaci z krajów za żelazną kurtyną. Gdy pytano pewnego poważnego delegata z Polski, czy pójdą do Watykanu, odpowiedział bojaźliwie i odmownie, choć pewnie contre coeur. Jakież to wymowne. Jeśli poważny historyk polski, katolik, boi się uczestniczyć w audiencji papieskiej, to niech nam wyrobnicy propagandy komunistycznej, występujący w osobach katolików reżymowych czy postępowych, nie mówią o wolności religii w Polsce!

Poza Rzymem odbył się jeszcze w Wenecji zjazd historyków sztuki, podczas którego urządzono szereg wystaw artystycznych. Wśród nich była wystawa Bernardo Belotto (zmarłego w Warszawie w 1780 roku), znanego pod nazwiskiem Canaletto, oraz Aleksandra Gierymskiego.

Patrząc w pożegnalnej wizycie na Pincio z viale Adamo Mickiewicz ku szczytom rzymskim, z dominującą wśród nich kopułą św. Piotra, cieszymy się, że polonica znalazły tyle miejsca w zgromadzeniu najpoważniejszych historyków świata.

Józef Płoski



Włoski minister oświaty Rossi przed stoiskiem Polskiego Towarzystwa Historycznego na Obczyźnie. Eksponaty pokazuje przedstawicielka Kat. Ośrodka Wydawn. „Veritas" na Włochy p. Zofia Bułhak-Jelska.

PODRÓŻ W CZASIE

(Dokończenie ze str. 1)

nie. Są zresztą inne elementy niepewności. Już dziś niektórzy publicyści amerykańscy przebąkują, że główną przyczyną polityki uśmiechów, zastosowanej z takim powodzeniem przez Rosję, są nie wyobrażalne niepowodzenia w rolnictwie, lecz kłopoty chińskie. I mogą mieć rację. Po likwidacji imperiów kolonialnych: angielskiego i francuskiego, co jest już tylko kwestią czasu, przyjdzie kolej i na imperium kolonialne rosyjskie, obejmujące właściwie cały obszar na wschód od Wołgi. Ani Chiny, ani żadne mocarstwo azjatyckie, nie będzie mogło bez końca tolerować tego stanu rzeczy.

Jeden z publicystów polskich, piszący przed paru miesiącami w pewnym poczytnym miesięczniku emigracyjnym, wywodził, że epoka atomowa nie sprzyja małym i średnim narodom, które utraciły niepodległość. W rzeczywistości nie było chyba w dziejach innego takiego okresu, w którym by tyle narodów naraz odzyskało niepodległość. Wystarczy choćby przypomnieć Indie, Pakistan, Cejlon, Burmę, Indonezję, Syrię, Liban, Libię, Egipt, Sudan. W najbliższym czasie uzyska niepodległość Nigeria i Złote Wybrzeże. Persja od stu lat nie miała tyle niezależności od wielkich mocarstw, ile ma jej teraz. Dokonywuje się szybka emancypacja innych krajów arabskich. Malaje dopominają się o niepodległość. Plemiona murzyńskie, dotychczas bierne, przypominają o swoim prawie do samostanowienia. Źle jest z rozumowaniem, które przeocza tyle faktów.

Pojęcie niepodległości zmienia się, rzecz jasna, z biegiem czasu. Nigdy nie odpowiadało ono faktycznie klasycznej formule prawnej Grotiusa, gdyż państwa i narody nie żyją w izolacji. Nie stoi jednakże na przeszkodzie, aby po pewnym czasie Polska była tak niepodległa, jak np. Cejlon, Burma, czy Egipt.

Wymaga to jednak odpowiedniej koniunktury, na którą w Europie możemy czekać lata całe. Może doczekamy się jeszcze sami szczęśliwego dnia powrotu. Może odzyskanie niepodległości nastąpi dopiero za życia następnych pokoleń. Dopóki jednakże istnieje naród polski z pełną świadomością swej historii, dopóty nasza sprawa, która jest zresztą sprawą całej Europy Środkowej, będzie musiała znaleźć pomyślne rozwiązanie.

Rzecz inna, że opieranie całego naszego życia na emigracji na założeniu rychłego powrotu, jest już wyraźnie anachroniczne i im prędzej to sobie uświadomimy, tym lepiej. Utrzymywanie fikcji i polityki mogłoby być nawet zabawne, gdyby nie odwracało naszej uwagi od spraw istotniejszych, takich, jak zachowanie nieskażonej kultury i umiejętne wpływanie na bieg spraw międzynarodowych. Możemy zachować a nawet rozwijać na emigracji gałęzie narodowej spuścizny, których nie można rozwijać w Kraju. Jest to szczególnie słuszne w odniesieniu do licznej i skupionej emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Możemy opuścić nareszcie dobrowolne getta i wchodząc do środowisk obcych, wśród których żyjemy, urabiać od wewnątrz kierunki polityki, tak jak to czynił Paderewski. Jest to trudne, ale ciągle jeszcze możliwe w Stanach Zjednoczonych.

Są to przykłady jedne z wielu. Nie zamierzam ich tutaj wyczerpywać. Chodziło mi tylko o zwrócenie uwagi, że trzeba już przestać myśleć o tym, jak i kiedy wrócimy do Polski na mniejszych lub większych białych koniach, a zacząć myśleć o tym, co jeszcze możemy **zrobić** na wychodźstwie dla sprawy polskiej i przyszłych pokoleń.

Andrzej Pomian

Waszyngton, we wrześniu 1955 r.

(1) „U. S. News & World Report", 17. 6. 1955.

(2) „Today". The 1955 Pocket Almanac, por. str. 15-16 i 482.

(3) „Today", por. str. 105-106; Whitaker's Almanac for 1956, por. str. 593.

FELIKS BOHDANOWICZ

3)

Z ZAGADNIEŃ WSPÓŁCZESNEJ PSYCHOLOGII

SNY W ŚWIETLE PSYCHOANALIZY

Fakty te niewątpliwie mają związek z sennym marzeniem. W zestawieniu z nimi scena z jabłkiem wydaje się symbolizować scenę erotyczną. Inne skojarzenia dotyczą niejasnego poczucia winy, którą odczuł przy spotkaniu z dziewczyną. Jest to ewokacja grzechu pierworodnego w raju i przypomnienie wczesnego przejawu erotyzmu tak surowo ukaranego przez ojca. Na podstawie tych uzyskanych danych spróbujmy zinterpretować sen najpierw według metody Freuda. Otóż zgodnie z jego poglądem istnieje wyraźna zależność przyczynowa między sennym marzeniem a zdarzeniami poprzedzającymi sen. Niespełnione pożądanie znalazło swe ujście w symbolu zerwanego jabłka. Zachodzi pytanie, dlaczego owo pożądanie nie wyraziło się we śnie w postaci jawnej. Wiemy już, że według Freuda dzieje się to wskutek działania postulowanej przez niego cenzury. Bowiem zasady moralne, narzucone młodzieńcowi jeszcze w dzieciństwie, nakazują opanowywanie tych pożądań, jako rzeczy zdrożnych. Tłumienie pożądań — najpierw wykonywane świadomie — wskutek nawyku stało się aktem automatycznym, a więc nieświadomym. I chociażby potem młodzieniec porzucił te zasady moralne, nieświadomość będzie automatycznie tłumiła pożądanie. Nieświadomość nie stanowi jedności, lecz zawiera cały szereg czynników i kompleksów o charakterze autonomicznym, obdarzonych mniejszym lub większym quantum energii psychicznej. Toteż gdy jeden z tych czynników dąży do rozładowania napięcia, wywołanego niezrealizowanym pożądaniem, inny — jak w tym wypadku „cenzura" — będzie działać hamująco. Toteż kompleks erotyczny — jak w interpretowanym śnie — używa symbolu jabłka, aby przemycić za fasadą jawnej treści snu swoje ukryte dążenie.

Wykładnia snu, jak widzimy, jest prosta, a ponieważ senne marzenie jest przeważnie rozładowaniem kompleksu erotycznego, który zaistniał wskutek zdarzeń poprzedzających sen, przeto gros snów według Freuda sprowadza się do tej kategorii. Interpretacja taka pociąga swą prostotą i mało skomplikowanym związkiem, jaki zachodzi między przyczyną a skutkiem.

Jung w tym względzie rozszedł się ze swym dawnym mistrzem. Związek między zdarzeniami stara się poddać wnikliwej analizie, ujmując przy tym zasadę przyczynowości o wiele szerzej (zgodnie z arystotelesowskim jej sformułowaniem). Dla Junga ważnym było nie tylko pytanie, dlaczego to się stało, lecz jeszcze ważniejsze: w jakim celu? Zagadnienie celowości jest tym istotne, że dotyczy ono c a ł o ś c i psyche, a nie poszczególnych jej fragmentów i kompleksów, których analizie i wykrywaniu związków przyczynowych wyłącznie poświęca się Freud i jego adepci. Jung interesuje się badaniem związku danego faktu z przeszłością (analiza), lecz na tym nie zatrzymuje się i szuka syntezy, przyszłej linii działania psyche.

Wszystkie szczegóły omawianego snu oraz skojarzenia są i dla Junga ważne i potrzebne. Jedynie stawia on sobie inne pytanie: jaki jest cel tego snu, do czego zmierza senne marzenie? Jeżeli w dziedzinie zjawisk czysto fizycznych zdołano stwierdzić istnienie celowości, to tym bardziej uwydatnia się jej działanie w funkcjach biologicznych, a przede wszystkim w czynnościach psychicznych.

W całej konstelacji poprzedzających sen zdarzeń i szczegółów marzenia sennego widzi Jung nieuświadomione przez śniącego poczucie winy, towarzyszące sferze erotycznej; skojarzenie zdarzeń z dnia poprzedniego wywołuje w nim coś w rodzaju wyrzutu sumienia. Lecz młodzieniec ten w swej świadomości nie uważa swych czynów za rzecz naganną: wszyscy jego przyjaciele tak postępują. I dlatego nieświadomość stara się skorygować tę postawę i to nie podsunięciem prostej myśli: „to co robię, jest złe", bo świadomość osobnika nie przyjmie tej wyraźnej sugestii, jako sprzecznej z jego myślą świadomą, lecz w formie obrazu-symbolu — normalnego zresztą sposobu działania — połączonego z towarzyszącym niewyraźnym uczuciem winy.

Jung uważa poczucie moralne jako istotny i wrodzony czynnik psychiczny, który, jeśli zostanie usunięty ze świadomości, to będzie istniał nadal w ukryciu. Dotyczy to również zasad moralności płciowej, których nie wolno lekceważyć, jak każdego zresztą instynktu naturalnego. Świadczy o tym bardzo surowa reglamentacja spraw erotycznych u większości nawet najbardziej prymitywnych ludów, u których najłatwiej można rozpoznać moralne instynkty w czystej, nieskażonej cywilizacją formie. Otóż w danym wypadku młodzieniec, lekceważący zasady etyki płciowej, zostaje w formie alegorycznej „upomniany" przez zepchnięte do nieświadomości czynniki etyczne. Ale jaką korzyść odniesie młody człowiek, skoro on nawet nie potrafi zrozumieć sensu owego snu? Jung odpowiada na to, że zrozumienie nie jest zjawiskiem czysto intelektualnym i że doświadczenie uczy, że nieskończenie wiele czynników, rozumowo nieuchwytnych, może wywierać swój wpływ i kierować człowiekiem — wystarczy wymienić chociażby tak skuteczne działanie symbolów religijnych. Można tu zastosować analogię między działaniem symbolu w sennych marzeniach i symbolu-znaku sakramentalnego, działającego swą własną mocą (to, co teologia określa terminem „ex opere operato").

Jung nie omieszkuje podkreślić, że nie należy nieświadomości nadawać charakteru czynnika moralizującego, gdyż jest to przywilej jedynie świadomości: nieświadomość jest amoralna. W swej warstwie indywidualnej jest ona jakby zbiorem czynników, których brak w świadomości danego osobnika, i ma przeto charakter kompensacyjny. Toteż osoby o wysokim poziomie etycznym mogą mieć sny „niemoralne" (św. Augustyn cieszył się, że nie jest odpowiedzialny za sny przed Bogiem), podczas gdy osoby nie przestrzegające zasad etycznych mogą mieć sny „moralizujące", jako przeciwwagę ich świadomej postawie. Senne marzenie spełnia więc według Junga rolę regulatora psychicznego. I tę właśnie autoregulację psychiczną widzi Jung w omawianym sennym marzeniu osobnika, którego postawa świadoma wyraża się w lekceważeniu podstaw etycznych życia płciowego. Tak więc u Junga sen nie jest fasadą — jak u Freuda — za którą ukrywa się pożądanie erotyczne, lecz parabola, aluzją, mającą na celu wskazać osobnikowi na konieczność uwzględnienia lekceważonego w życiu czynnika moralnego.

Oto jeszcze jeden podany przez Junga charakterystyczny przykład wykładni marzenia sennego, opartej na zasadzie przyczynowości celowej. Pewnemu młodemu człowiekowi śni się, że jedzie samochodem, prowadzonym przez jego ojca. Samochód zatacza zygzaki i jazda kończy się uderzeniem o mur i rozbiciem samochodu. Kiedy śniący w wybuchu gniewu czyni wymówki swemu ojcu, stwierdza, że ten jest zupełnie pijany. Sen powyższy nie posiadał żadnego związku z poprzedzającymi senne marzenie faktami. Ojciec owego młodzieńca nigdy nie nadużywał alkoholu i odznaczał się wielką ostrożnością w jeździe. Poza tym stosunki między ojcem a synem były bardzo harmonijne i nie pozostawiały nic do życzenia. Sen więc wyglądał na pozbawiony wszelkiego sensu. Freud może by próbował znaleźć jakiś ukryty kompleks z bogatej galerii erotyki, lecz badania Junga w tym kierunku nie dały żadnych wskazówek. A jednak, jak powiada Jung, sen nigdy nie jest w istocie swej absurdalny, może być tylko niezrozumiały, jak niezrozumiałe są rebusy czy jakieś pismo hieroglificzne, dopóki nie znajdziemy właściwego klucza.

(Dokończenie nastąpi)

WIECZORY TEATRALNE

Z POWODU „NOCY NARODOWYCH"

Trudno było o gorszy wybór sztuki na Rok Mickiewiczowski od „Nocy narodowych" Romana Brandstaettera, i to, na domiar złego, przez teatr emigracyjny. Rzecz nie do wiary, żeby zdolny kiedyś polonista mógł, nieprzymuszany, sztukę taką napisać, żeby wybitna i trzeźwa polonistka Maria Danilewiczowa mogła ją na emigracyjną scenę zalecić, a doktor polonistyki Leopold Kielanowski wystawić. „Noce narodowe", wbrew gorliwym zamiarom autora, nie mają, poza postaciami, nic wspólnego z historią. Ich „rewizjonizm" polega na miernym udramatyzowaniu najniższego gatunku plotki bez skrupułów moralnych, psychologicznych i historyczno - kulturalnych. Podobno w Krakowie zdjęto „Noce narodowe" z afisza w pełni powodzenia. Powodzenie nie przynosi zaszczytu publiczności, wystawienie jest świadectwem upadku kultury teatralnej w Kraju, a honor w tym wszystkim ocalła jedynie cenzura, wychodząca zapewne ze swoich, a więc pozakulturalnych, założeń.

„Noce narodowe" podejmują dramat Mickiewicza w okresie towianizmu, od 17 lipca 1841 do 29 maja 1848, od pierwszego spotkania poety z Andrzejem Towiańskim do dnia rozstania z Kołem przed wyjazdem do Rzymu. Przez te siedem lat dramaturg wprowadza na scenę jako postacie pierwszoplanowe, oprócz Towiańskiego, Celinę Mickiewiczową, Ksawerę Deybel i bliżej nieznaną historii służącą mistrza Martę. Dramat poety, przywódcy narodowego i słowiańskiego, mistyka owianego ideami rewolucyjnymi, rozpięty jest między Celiną i Ksawerą, a snuty rękami drobnego łotrzyka, oszusta, bluźniercy, uwodziciela, rajfura, wstecznika, wyzyskiwacza, szpiega, prowokatora i szelmy. Słowem, dramat podwórkowy, Grand Guignol, „dreszczowiec z życia Mickiewicza", jak słusznie po przedstawieniu orzekł Napoleon Sądek. Towiański, prócz intrygi, posługuje się w dramacie magnetyzmem, zupełnie jak słynni przed wojną prestidigitatorzy Lo-Kittay i Gdyczyński. Kobiety natomiast usiłują Mickiewicza ratować z toni. Celina namawia Adama, aby pisał, a Ksawerę, aby sobie poszła precz z domu. Ale Ksawera pozostaje, by czuwać nad Mickiewiczem i dozorować go z polecenia mistrza. Bo wprawdzie i ona jest ofiarą nie tylko chuci mistrza Andrzeja, ale i jego magnetyzmu, ale, zakochana w Mickiewiczu, ostrzega przed Towiańskim uwikłanego poetę. Takie to pomysły dramatyczne okrasił Brandstaetter ewokacją wielu autentycznych zdarzeń, licznymi przytoczeniami pism i słów Mickiewicza oraz sentencjami wyskubanymi z tekstów Towiańskiego. Postacie potraktowane są w sylwetkach i strojach z pełnym realizmem. „Noce narodowe" skroił autor jako dramat historyczny.

Trzeba więc do niego przyłożyć miarę historyczną.

O Andrzeju Towiańskim głoszono już to, co Brandstaetter dziś, zaraz po rozpoczęciu przezeń misji publicznej. Chełchowski pisał w październiku roku 1841 do Domeyki: „Nie stałoby mi miejsca, gdybym chciał spisać wieści, ubliżające Towiańskiemu, jakie tu cyrkulują: jedni go robią wariatem, inni oszustem, inni nie znajdują go dość czystym w obyczajach, ale to wszystko plotki i dowodu na to nikt nie ma". Otóż to właśnie: plotki bez dowodów. Od księdza Semenenki po księdza Desmettres'a, wypisano tomy poważnych i mniej poważnych zarzutów przeciw Towiańskiemu, od Mickiewicza do Artura Górskiego wypisano też o nim tomy eulogij. Budził on w ludziach gwałtowne i skrajne uczucia. Wśród zarzutów pewny jest tylko jeden: Andrzej Towiański był heretykiem i mimo że wielu wybitnych duchownych, a nawet teologów polskich, włoskich i francuskich, sprzyjało jego sprawie, pisma Towiańskiego znajdują się na indeksie jako niezgodne z nauką Kościoła. Na indeks dostały się też wykłady paryskie Mickiewicza w College de France, a mianowicie lekcje omawiające „Biesiadę". Wszystkie inne zarzuty i plotki nie zostały w ciągu stu lat z górą poważnie dowiedzione.

Towiański wyrządził emigracji polskiej szkodę olbrzymią, sprowadzając wiele umysłów na bezdroża herezji i szkodliwych praktyk. W ocenie jego wpływu na Mickiewicza trzeba jednakże być ostrożnym; trudno z pewnością rozstrzygnąć, czy poeta nie popadłby w jeszcze gorsze rozterki duchowe, gdyby nie mistrz Andrzej. Towiańskiemu polska literatura zawdzięcza nie tylko wiersz „Słowiczku mój", ale i w pewnym stopniu „Prelekcje paryskie". To dzieło nie jest znowu tak małej miary, aby załamywać ręce nad zupełnym milczeniem Mickiewicza po roku 1841. Zresztą poeta zamilkł znacznie wcześniej.

Towiańskiemu przypisuje się zwykle wszystkie bałamuctwa religijne i ideowe, jakie zapanowały na emigracji. Nie należy jednak zamykać oczu na zjawisko powszechnego wówczas zamieszania w umysłach, nie tylko polskich, ale i całego świata. Zanim przyszły wielkie odkrycia przyrodnicze w drugiej połowie XIX wieku, ludzkość miotała się w konwulsjach fałszywej mistyki i plątała w gąszczu różnych mesmeryzmów, magnetyzmów i okultyzmów. Towiański wcale nie zalecał żadnego z tych zabiegów, przeciwnie, jego ideą była tylko wytężona praca ducha nad wewnętrznym uszlachetnieniem. Nauki Towiańskiego Kościół uznał za błędne, głównie z powodu głoszenia starej jak chrześcijaństwo herezji metempsychozy. Ale próby zmartwychwstańców, aby go wykpić i zlekceważyć, nie powiodły się. Z Towiańskim trzeba się było twardo rozprawić. Nie był to bowiem ciemny szlachcic ni pospolity oszust, lecz „granitowy blok człowieka duchowego, sługi Bożego" — jak pisał teolog włoski, ks. prof. F. Barone — człowiek o niezwykle natężonym życiu wewnętrznym, pobożny i gorliwy chrześcijanin, głęboko przekonany o swoim posłannictwie, nie cofający się przed niebezpieczeństwami, wytrwały i konsekwentny w obliczu klęsk i zawodów. Stanisław Pigoń w wydanej po wojnie książce pt. „Wśród twórców" (Kraków 1947) tak pisze o stosunku Mickiewicza do Towiańskiego: „Napotkana w tym szlachcicu litewskim uroczna siła przykładu żywej, aktywnej zbożności, świątobliwości, przepajającej każdy jego powszedni postępek, okazana potęga napiętego wysoko życia duchowego, bezwzględna zgoda uczynków z założeniami moralnymi — wszystko to zawiązało i ustaliło w Mickiewiczu szacunek, po prostu uwielbienie, kult osoby Towiańskiego". Nie był to kult odosobniony, gdyż wszyscy wyznawcy idej mistrza Andrzeja darzyli go adoracją. Damy światowe, generałowie, statyści padali przed nim na kolana. Belwederczyk Edward Gerycz pisał w roku 1848: „Strach, co jest, znam. Kiedy wściekły książę Konstanty rzucał się na nas, drżałem jak przed psem wściekłym. Ale to nic, nic, nic w porównaniu ze strachem doznanym, gdy Mistrz przemówi. A nigdy jednak się nie gniewa, nie unosi." Przejawy adoracji mistrza były, rzecz jasna, niezdrowe, ale były powszechne, i to przez pół wieku jego nauczania i wśród wielu narodów.

Z rujnującym wpływem Towiańskiego na wielką emigrację powinien się nareszcie ktoś z historyków naszej kultury rozprawić, gdyż, poza teologami, posiada on wśród wybitnych badaczy niemal wyłącznie entuzjastów, żeby przytoczyć Stanisława Pigonia i Stanisława Szpotańskiego. Jego szkodliwą rolę należałoby naświetlić. Nie można wszakże tego dokonywać przy pomocy jadowitej plotki i grubego oszczerstwa. Myśli Towiańskiego trzeba przeciwstawić myśl własną, a nie kubeł pomyj.

Pisarz, oczywiście, posiada prawo do ujmowania postaci historycznych lekko, satyrycznie, karykaturalnie, czy w świetle własnych przekonań. Ma, owszem, takie prawo, ale pisarza obowiązuje etyka nie tylko wobec czytelników, ale i wobec opisywanych postaci, zwłaszcza historycznych.

A jakiż portret Towiańskiego dał nam Roman Brandstaetter? Przede wszystkim do celów swych przykroił i pomieszał fakty historyczne, a tam, gdzie mu to było potrzebne, powymyślał je. W pierwszej scenie „Nocy narodowych" Towiański wypytuje swoją wysłanniczkę do Mickiewicza, Ksawerę Deybel o stan duchowy poety. Dowiadujemy się także, że mistrz przybył prosto z Litwy jednokonnym wózkiem, ze służącą Martą, aby omotać Mickiewicza. Otóż Towiański przybył do Paryża, z żoną Karoliną i najstarszym synem, w grudniu 1840 roku i był świadkiem przeniesienia prochów Napoleona. Potem wyjechał do Belgii, zwiedził Anglię i Irlandię, po czym znowu przez Brukselę udał się do Paryża. I dopiero wówczas widział się z Mickiewiczem. Natomiast Ksawera zjawiła się w Paryżu dopiero w pierwszych miesiącach roku 1842 i do Koła wstąpiła w okresie największej gorliwości Mickiewicza. Ponieważ poeta znał ją przypuszczalnie jeszcze z Wilna, raczej on ją niż ona jego pociągnęła do towianizmu.

Skoro już jesteśmy przy Ksawerze, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że jej rola w sztuce Brandstaettera jest zupełnie dowolna. W Kole nazywano ją „grzesznicą" i zapewne nie bez powodu. Gorliwość jej przeplatała się z długoletnimi okresami wyrzekania się Towiańskiego. W rozłamie roku 1846 stanęła po stronie przeciwnej Mickiewiczowi. Zgoła też nie była jego dobrym duchem. Jej pierwszy syn był synem Mickiewicza.

W scenie drugiej „Nocy narodowych" mistrz Andrzej jednym tchem wymienia różne swoje zamiary. Mickiewiczowi zakazuje pisać, żonę jego uzdrawia z obłędu, zapowiada wysłanie listu hołdowniczego do cara. Jeszcze dziś Stanisław Mackiewicz żżyma się, gdy cesarza Wszechrosji nazywa kto carem, a cóż dopiero illo tempore. „Najjaśniejszy Imperator", a co najmniej cesarz, mawiało się wówczas i nigdy inaczej nie mówił Towiański. Nie ma żadnych na to dowodów, aby Mickiewicz miał od Towiańskiego zakaz pisania. Wykłady w Kolegium Francuskim nie sprzyjały pracy poetyckiej, ale twórczość Mickiewicza z tamtych lat jest tajemnicą. Syn jego pisał, że ojciec spalił masę swych papierów przed wyjazdem do Turcji. List do cara czy imperatora Mikołaja wyszedł spod pióra Aleksandra Chodźki, pod nieobecność Towiańskiego, dopiero w roku 1844 i stał się powodem rozłamu w Kole.

Uzdrowienie Celiny — pisał Mickiewicz do Skrzyneckiego — nie miało wpływu na jego wiarę w Towiańskiego. Pierwsza rozmowa z mistrzem odbyła się w dniu 17 lipca 1841, a jeszcze dnia 8 sierpnia tegoż roku poeta pisze do żony: „Kochana moja Celinko! Staraj, aby w twojej duszy był taki pokój, jak jest teraz w mojej. Moja miłość powinna ci wystarczać teraz, a potem cię uzdrowić. A to piszę maczając pióro w sercu..." Zatem w kilka tygodni po rozmowie z Towiańskim Mickiewicz jeszcze wierzy, że żonę potrafi uzdrowić swoją miłością. Towiański zresztą nigdy nie uważał owego legendarnego „uzdrowienia" za cud i zawsze twierdził, że cuda nie są w jego mocy.

Brandstaetter zrobił z Towiańskiego Casanovę. Pomijając fakt, że wierna towarzyszka jego żywota, poczciwa pani Karolina z domu Maxa, nie odstępowała go na krok, gdziekolwiek się znajdował, najzawziętsi wrogowie Towiańskiego, którzy go osobiście znali, mieli dla jego życia moralnego same tylko pochwały. Do wyznawców swych mówił mistrz Andrzej: „Bóg po was nie będzie wymagał nic ponad to, czego ja wam dam przykład". Nie były to wymagania małe, zważywszy, że Towiański wiódł życie prawe i w oczach współczesnych uznawane za świątobliwe. Nie zalecał on kontemplacji, żądał od ludzi czynnego doskonalenia się. W drodze za granicę, Towiański był przyjęty przez arcybiskupa poznańskiego Dunina, który o nim pisał: „okazywany duch religijny ujął mnie i wzbudził we mnie szacunek". Ksiądz Duński, prowadzący z ramienia ojców zmartwychwstańców inwestygację przeciw Towiańskiemu, sam stał się towiańczykiem, porwany świątobliwością mistrza. Mickiewicza pociągnęło to samo. Pisał o nim: „Zawsze i wszędzie stoi przy prawdzie". Wspomniany ks. prof. Barone nazwał Towiańskiego „idealnym chrześcijaninem". Kaznodzieja szwajcarski wygłosił nad mogiłą Towiańskiego mowę pogrzebową, w której „oddał świadectwo nieposzlakowanemu życiu jego i gorliwości, z jaką dźwigał z upadku gasnące na świecie uczucie religijne."

Nie dbał również mistrz Andrzej o uwielbienie swej osoby. „Najboleśniejszym, rzec mogę, w ciągu życia mojego krzyżem, a od którego jak najmocniej broniłem się, była adoracja dla mnie samego składana, a pokrywająca częstokroć odrzucenie podawanej przeze mnie woli Bożej." Mickiewicz pisał w jednym z listów do Skrzyneckiego: „Widisz, że mię Andrzej nie łudził historiami o swej osobie". Nie, z pewnością tego nie czynił, gdyż często nazywał się „łachmanem", „robakiem". „Mocen jest Bóg — pisał w liście do papieża Piusa IX — objawić wolę swoją... i przez najniegodniejsze nawet narzędzia." Tymczasem w „Nocach narodowych" Towiański dyszy pychą i egoizmem.

Nie dbał wreszcie Towiański o dobra doczesne, skoro wydzierżawił swój spory majątek Antoszwińcie i nie wracając na wezwanie władz zza granicy, dopuścił do jego konfiskaty.

Dość chyba tych wywodów, aby wykazać, jak niezgodne z prawdą historyczną są pomysły dramatyczne Romana Brandstaettera. Zniesławiając rolę Towiańskiego, pisarz ten postawił pod znakiem wielkiego zapytania zdrowy rozsądek Mickiewicza, a także takich ludzi jak Juliusz Słowacki, Seweryn Goszczyński, Walenty Wańkowicz, Karol Różycki, Ludwik Nabielak i dziesiątki innych. A przecież Towiański posiadał i po dziś posiada żarliwych zwolenników także wśród obcych. Koło francuskie wzięło swój początek od grupy zwolenników mistyka normandzkiego Piotra Michała Vintras, którzy porzucili swego proroka dla Towiańskiego. Byli wśród nich i księża.

Polskich towiańczyków przeżyli włoscy. W Turynie zawiązało się Koło jeszcze za życia Towiańskiego. Biografię o jego życiu i dziele opracował w języku francuskim profesor uniwersytetu i senator Tankred Canonico. Trzytomowe wydanie „Pism" Towiańskiego wyszło w r. 1887 w Turynie. Koło turyńskie skupiało w ciągu wieku gorących przyjaciół Polski i jest czynne aż do naszych dni.

Miał też Andrzej Towiański zawziętych przeciwników. Biskup krakowski Skórkowski, generałowa Małachowska, w pewnym okresie Skrzynecki, a zwłaszcza Zygmunt Krasiński uważali go za impostora, za szatana. Ale nie zaprzeczali siły jego ducha i niezwykłego wpływu na ludzi. Nie używali przeciwko niemu zatrutej broni.

Jedyną stroną pozytywną dramatu Brandstaettera jest jego kult dla Mickiewicza. Niestety, kult ten obalił autor własnymi rękami pozwalając poecie stać się na długie lata niewolnikiem człowieka złego i ograniczonego.

Reżyser londyńskiego przedstawienia, w gnieździe emigrantów przeważnie rodem z Wileńszczyzny, tj. w „Ognisku Polskim", miał zadanie nie do rozwiązania. Popełnił błąd śmiertelny puszczając sztukę na scenę. Wszystkie inne błędy płyną z tego fałszywego kroku. Leopold Kielanowski usiłował wybić postać Mickiewicza i odróżnić od tła intryg, oszustw i małostek. Mickiewicz chodził więc po scenie w aureoli, a mówił z namaszczeniem rabina. Wszystko co najmniej o oktawę za wysoko. Stanisław Belski powtórzył w masce Mickiewicza rolę Sokratesa z „Obrony Ksantypy". Sylwetka poety również nie była udana. Wszak w roku 1841 Mickiewicz miał zaledwie 42 ukończonych lat, nie mógł więc chyba wyglądać jak małomiasteczkowy handlarz starzyzną w okresie złotych godów.

Doskonałe sylwetki stworzyli: Zygmunt Rewkowski oraz panie Celina — Krystyna Dygatówna i Ksawera — Irena Kora Brzezińska. Starannie wczuła się też w rolę zastraszonej służącej Klara Belska. Ale szkoda było wielkiego trudu aktorskiego dla tego żałosnego głupstwa. Publiczności nie szkoda, bo się na premierze wesoło bawiła.

Funkcyjne dekoracje Haliny Zeleńskiej były naprawdę piękne, ale nie spełniały swej roli w historycznej sztuce. Może to i lepiej. Może właśnie Zeleńska zrozumiała, że sztuka nie jest historyczna.

Jan Bielatowicz

LISTY PARYSKIE

POŻEGNANIE CLAUDELA — TWÓRCZOŚĆ WOBEC CIERPIENIA — KRONIKA

Dnia 2 września odbył się definitywny pogrzeb Paul Claudela, ściślej mówiąc przeniesienie zwłok z podziemi katedry Notre Damę na cmentarz wiejski w Brangues. Obok najbliższej rodziny w gronie przyjaciół zauważono Marię Ścibor, autorkę muzyki do tekstów poety. Jest to córka Polki, p. Ścibor-Rylskiej i Anglika Mr. Wetch, wychowana we Francji, uczennica sławnego Darius Milhaud, zdolna kompozytorka i przyjaciółka Paul Claudela. Piszący był właśnie przez nią przedstawiony Claudelowi na jednym z koncertów p. Ścibor, na parę lat przed wojną.

Nad grobem w Brangues przemówił imieniem rodziny i przyjaciół Claudela znakomity aktor-reżyser Jean-Louis Barrault. W słowach pełnych plastyki i oratorskiej swady przeszedł on etapy życia i twórczości poety i swej długoletniej z nim przyjaźni. J. L. Barrault znany ze swych prokomunistycznych sympatyj, godził w tym przemówieniu „realizm" i „historycyzm" tak ulubiony przez zwolenników marksizmu-leninizmu, z katolickimi ideami, więc mistycyzmem i bezczasowym fideizmem katolickim Claudela. Czytając jego mowę podaną w prasie katolickiej in extenso, trudno się oprzeć wrażeniu, że przy całej szczerości tonu uwielbienia i przyjaźni, a zarazem kunsztu oratorskiego, J. L. Barrault zręcznie i Panu Bogu świecił świeczkę i diabłu ogarek — nie narażając się nikomu. Całość jednak podana słuchaczom była na najwyższym poziomie. Jest to jeszcze jeden przykład szlachetnego artysty, bezinteresownego intelektualisty, łatwo skłaniającego się — przy całym uznaniu dla wiary, a nawet mistyki, religijnej (u drugich) — do wiary socrealistycznej i mistycyzmu dialektycznego we własnym na świat poglądzie.

Równocześnie twórczości i życiu Paul Claudela oddali zbiorowo hołd pisarze i muzycy francuscy we wrześniowym numerze „La Nouvelle Revue Française", specjalnie Claudelowi poświęconym. Sam wachlarz nazwisk daje świadectwo uznania dla wielkiego poety, niezależnie od tego czy składający mu hołd artyści podzielają jego wiarę lub nie. Hołd ten złożyli tu: Saint-John Perse, Jules Supervielle, Jules Romains, Marcel Jouhandeau, Francis Ponge, Jean Grosjean, Jean Wahl, Arthur Honegger, Darius Milhaud, Robert Malet, żeby choć najbardziej znane nazwiska wspomnieć. Nawet niechętni Claudelowi za jego życia, uznali przecież wszyscy w nim wielkość jego artyzmu i dzieła.

◆

Gdy mamy na myśli postawę katolicką wobec zagadnień życia ujmowanych przez pisarzy w ich dziełach, uderza nas fakt, że tak powieściopisarze jak i krytycy potrącają raz po raz o problem wyjątkowo ciekawy, a z punktu widzenia katolickiego zawsze od czasów Hioba aktualny i zasadniczo ważny, mianowicie o rolę cierpienia w życiu i w twórczości. Znany jest cały zastęp pisarzy upośledzonych lub znoszących cierpienie fizyczne, które nie tylko nie stanowiły przeszkody w ich twórczości, ale wprost przeciwnie były dla niej nieraz potężnym bodźcem. Któż ich nie zna? Wszak genialni Petrarka, Pascal, Flaubert czy Dostojewski to epileptycy; cały legion od Moliera (do naszego Słowackiego czy Małaczewskiego) to gruźlicy; Torquato Tasso, Swift, Cnute czy Edgar Poe — obłąkani; Regnier, Chamfort, Jules de Concourt, Maupassant, Baudelaire, Nietzsche (czy nasz Wyspiański) — syfilitycy; wreszcie tacy wielcy anormalni jak Balzac, czy znany degenerat Victor Hugo.

Zastanawiając się nad tym zjawiskiem André Billy, czołowy krytyk „Le Figaro", zestawia tu dwie postawy. Jedna, która, wywodząc się od Lombrosa, utrzymuje za Julien Teppe twórcą teorii zwanej przezeń „doloryzmem" (był on też redaktorem „La Revue Doloriste"), że „ból odradza literaturę", że „zbawienie rodzi się z anormalności", że przez nią jak i przez ból wszystko, co stanowi o godności człowieka: inteligencja, kontemplacja, medytacja, pokora, sympatia dla ogółu i ze strony ogółu, wszystko to dzięki cierpieniu uzyskuje naczelne miejsce w życiu. Jeśli cierpiący twórcy stanowią niejako bractwo, byłoby to bractwo literackie w cierpieniu.

Druga natomiast postawa, indywidualna, to postawa katolicka. Inaczej bowiem i głębiej patrzy na to zagadnienie katolik, np. o. Teilhard de Chardin. Katolik wszak przyjmuje postawę rezygnacji wobec cierpienia, jako dopustu Bożego. Bywa przecież i inna reakcja wobec cierpienia: nie bierna rezygnacja, która twórczości nie pomaga, ale przeciwnie, uparta wola życia i żądza czynu na przekór ułomnościom i cierpieniom zwalczająca zwycięsko fizyczny defekt czy ból i umożliwiająca tak upośledzonym osobnikom pracę twórczą. Czyż dla wymienionych jako przykład twórców wola nie była dźwignią (a nie rezygnacja), jeśli nie wprost źródłem siły twórczej i to w tak wysokim stopniu? Nie czyńmy więc z katolicyzmu religii bezsiły i rezygnacji, szukajmy i w niej woli doskonalenia się wbrew naszym słabościom ciała i ducha, tak jak to postulował o. Teilhard de Chardin.

◆

Na zakończenie tego listu oto kilka wiadomości kronikarskich z bieżącego miesiąca. W połowie września odbył się właśnie trzydniowy kongres zwolenników „La Vie Catholique Illustrée". Tygodnik ten, założony dziesięć lat temu, osiągnął obecnie nakład 600.000 egzemplarzy. Ceniony dla żywości informacji, stał się on bardzo popularny, jak tego dowodzi liczba czytelników i przyjaciół, którzy zjechali się w Paryżu na obchód jego dziesięciolecia w liczbie 2.500 uczestników.

Ale nie tylko Paryż organizuje zjazdy katolickie. W drugiej połowie września odbył się zjazd budowniczych, cieśli i stolarzy katolickich w Dinard, gromadząc delegatów z całej Francji.

Akty podobne o charakterze sporadycznym nie mają jednak tej ciągłości, jaką ma regularna, ciągła akcja katolicka, w oznaczonych terminach planowana i kontrolowana. Do tego rodzaju prac katolickich należą m. in. organizacje Jeunesse Ouvrière Catholique, Action Catholique Ouvrière oraz Union des Religieuses Educatrices Paroissiales. Odbyły one właśnie, również w drugiej połowie września, swe doroczne konferencje pod przewodnictwem kardynała Feltin, arcybiskupa m. Paryża, i licznych członków Episkopatu francuskiego. W JOC dyskutowano sprawę udziału młodzieży robotniczej w katolickiej akcji dobroczynności. W ACO omawiano stosunek zagadnień oświatowych do programu szerzenia realizacji Ewangelii w słowie i w czynie, zaś w UREP o roli zakonnicy w gminie i w wychowaniu obywatelskim wśród organizacyj kobiecych.

Daniel Rops, członek Akademii Francuskiej, wystąpił w tym miesiącu z orędziem w sprawie restauracji bazyliki St. Denis, zniszczonej przez Rewolucję Francuską, podczas której groby królów Francji zostały zbezczeszczone a zwłoki ich wyrzucone. Jest to przecież Wawel Francji przechowujący prochy tak wielkich władców Francji jak św. Ludwik. Czas naprawić tę zniewagę wyrządzoną nie tylko katolicyzmowi, ale i historii Francji. Dodajmy, że bazylika ta leży w gminie St. Denis, twierdzy wojującego komunizmu we Francji.

J. A. Teslar

ZAPISKI LONDYŃSKIE

MACLEAN I BURGESS

Sprawa Macleana i Burgessa wywołała w prasie brytyjskiej dawno już niesłyszaną burzę. Konserwatywny i bardzo zawsze powściągliwy w tonie „Sunday Times" domaga się od czynników miarodajnych odpowiedzi na szereg pytań. Oto jedno z bardziej charakterystycznych:

„Czy odpowiedzialni ministrowie mają przekonanie, że jakiekolwiek przyczyny natury ogólnej — dajmy na to przynależność do masonerii osób przyjmowanych w towarzystwie lub także przynależność osób zboczonych seksualnie — nie będą od tej pory utrzymywały w służbie publicznej i awansowały osób, do tego się nie nadających?"

O Macleanie „Sunday Times" pisze, że od dawna już był znany ze swego pijaństwa i braku równowagi, czego przejawem była „haniebna, notoryczna orgia w Kairze", a jeśli chodzi o Burgessa, to nawet najlepsi przyjaciele nie uważali go za godnego zaufania.

Nie ulega wątpliwości, że powołane do tego czynniki wyciągną ze sprawy najdalej idące wnioski, zgodnie z brytyjską tradycją osobistej uczciwości i prawości ludzi pełniących funkcje publiczne.

REKORD PRASOWY

Numer dziennika „New York Daily News" z niedzieli 11 września rb. ma 352 strony i jest nie tylko największy w dziejach tego dziennika, ale stanowi też swego rodzaju rekord nawet w prasie amerykańskiej, która z reguły wydaje numery obfitujące w ilość zadrukowanego papieru.

Wspomniany numer waży ponad 2 funty. Zawiera on, zdementowaną później przez oficjalne źródła brytyjskie, wiadomość, że toczą się rokowania o przystąpienie Norwegii do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

JAPONIA MOŻE ZROBIĆ NIESPODZIANKĘ

Kingsley Martin, redaktor lewicowego tygodnika „New Statesman and Nation", bawił niedawno w Japonii i snuje teraz refleksje polityczne na temat przyszłości tego kraju.

Japonia liczy dziś 88 milionów mieszkańców na obszarze mniejszym od Kalifornii — w dodatku tylko 17 procent jej ziemi nadaje się w chwili obecnej pod uprawę. To ogromne przeludnienie i brak surowców mogą doprowadzić Japończyków do stanu bardzo niebezpiecznej depresji.

W chwili obecnej panami sytuacji w Japonii są jeszcze okupanci amerykańscy i teraźniejsi rządcy kraju muszą z konieczności prowadzić politykę proamerykańską. Niemniej interesy gospodarcze mogą w przyszłości popchnąć Japonię w innym kierunku, w kierunku zbliżenia się do bloku komunistycznego. Pozyskanie rynków chińskich jest dla Japonii koniecznością życiową.

Przez wiele stuleci Japonią rządzili „szogunowie" i dopiero kilkadziesiąt lat temu mikado uzyskał znów władzę. Przez sześć lat po drugiej wojnie światowej rządy w Japonii sprawował MacArthur, który niewątpliwie był dla Japończyków czymś w rodzaju szoguna. Mikado jest obecnie postacią czczoną, a nawet popularną; jego konstytucyjna pozycja przypomina pozycję króla Wielkiej Brytanii. Jeśli jednak doświadczeni i bezstronni obserwatorzy mają rację — stwierdza Kingsley Martin — to Japonia wciąż jest zdolna do ponownego, szybkiego powrotu do dyktatury.

Japończycy są skryci i nie udzielają się zanadto przybyszom z Zachodu, choć się do nich uśmiechają i są wobec nich uprzejmi. „W każdym razie — pisze Kingsley Martin — poświęcają nam oni tylko połowę swej uwagi; głębsze pokłady ich świadomości czekają na słowo i na znak, który przywołuje przeszłość i jest rdzennie japoński."

I tu Kingsley Martin czyni porównanie Japonii z Niemcami. „Przypominam sobie — pisze — jak większość spośród nas, wierząc w stronnictwa i filozofie, myliła się w latach dwudziestych bieżącego stulecia co do Niemiec. Najlepszym obserwatorem był D. H. Lawrence, który wkrótce po pierwszej wojnie światowej usłyszał nadchodzący z dala tupot kroków pierwotnych Niemiec. Kiedy do władzy doszli naziści, Rosjanie i marksiści Zachodu ujmowali pojawienie się Hitlera kategoriami wojny klasowej. Słusznie widzieli w nazizmie kontrrewolucję przeciw groźbie proletariackiego socjalizmu, nie rozumieli, że Hitler przywołał sobie na pomoc Germanię pierwotną, która pojawiła się na długo przed feudalizmem... Jeśli Niemiec szalony, choć genialny, potrafił skłonić należący na tyle do Zachodu naród niemiecki, by usłuchał apelu do swych dawnych bogów nordyckich, to o ileż łatwiej oczekiwać można powrotu do prymitywnej przeszłości kraju, gdzie demokracja i tolerancja są tak świeżej daty, jak to jest w Japonii?"

Ciekawa ta uwaga Kingsleya Martina świadczy, jak nawet wśród przywódców lewicy intelektualnej wygasła wiara w dominującą rolę materializmu ekonomicznego w dziejach społeczeństw ludzkich. A przecież wiara ta jest jednym z kanonów „naukowego" marksizmu.

WĄTPLIWA RELIGIJNOŚĆ

Tak zwane National Council of Churches of United States, organizacja grupująca różne kościoły i sekty protestanckie, ogłosiła świeżo zestawienie statystyczne, dotyczące ilości członków różnych wyznań (łącznie z katolikami) w Stanach Zjednoczonych. Ogólna ich liczba wynosi 97 milionów, co oznacza, że w ciągu roku 1954 przybyło 2.500.000 nowych członków.

Protestantów było 57 milionów, katolików 32 miliony, żydów 5.500.000, prawosławnych 2 miliony. Wśród wyznań protestanckich najliczniejsi są baptyści, było ich bowiem 18.500.000, na drugim miejscu stali metodyści, z blisko 12 milionami członków.

Tegoroczny prezes National Council of Churches, p. Eugene Carson Blake, wyraził się jednak sceptycznie o tym pozornym przyroście liczby osób religijnych, który, rzecz dziwna, idzie w parze z dalszym upadkiem moralności. Jest to wynikiem faktu, że tylko część osób, które zgłosiły przystąpienie do tego czy innego kościoła, uczyniła to z pobudek natury religijnej.

Tak na przykład przeprowadzona ankieta wykazała, że do kościoła baptystów tylko 25 na każdych 100 nowych członków przystąpiło z powodów religijnych. Większość uczestników ankiety podała przyczyny „doczesne" albo „mieszane". Jeden z komentatorów wyraził przypuszczenie, że powiększenie się liczby członków wyznań jest przejawem rosnącej „sekularyzacji" kościołów, a nie wyrazem powrotu do Boga.

Trzeba się uwaga, że nie dotyczy to z pewnością katolicyzmu. Powiększająca się w Stanach Zjednoczonych i gdzie indziej liczba osób, które przeszły na łono Kościoła katolickiego, lub do niego powróciły po okresie indyferentyzmu lub niewiary, jest z pewnością wyrazem szczerej przemiany duchowej.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 9 października 1955.

NASZE SPRAWY

PODRÓŻ NA KONTYNENT

Mam jedną dobrą radę dla rodaków, którzy się pożenili z Angielkami: zawoźcie je, jeśli tylko Was na to stać, jak najczęściej na kontynent.

Anglia jest niezmiernie zamkniętym w sobie światem. Każdy Anglik i Angielka patrzy na resztę świata z góry i nie umie sobie nawet wyobrazić, by życie innego narodu, innego społeczeństwa mogło poziomem swoim, bogactwem treści swego życia, wytrzymać z Anglią porównanie. Ma to swoje przyczyny historyczne i geograficzne. Anglia jest wyspą i jej psychologia jest wyspiarska; jest wyspiarska tym bardziej, że od wieków jej zainteresowania zwracają się nie ku pobliskiemu kontynentowi Europy, lecz ku dalekim oceanom. Anglia jest głową wielkiego imperium kolonialnego i przyzwyczajona jest patrzeć na inne narody jak na ludy podległe: Anglik w Indiach, w Chinach, w Egipcie, w Afryce nie mieszał się z tubylcami, mieszkał w osobnych dzielnicach, żyjąc w nich swoim własnym życiem, a życia tubylców w ogóle nie znał i pogardzał nim; a nawet podróżując po Europie, spędzając zimę na Riwierze, czy w Szwajcarii, miał do niedawna zwyczaj zatrzymywać się w hotelach przeznaczonych w praktyce wyłącznie dla niego, dających mu „porridge" i popołudniową herbatę i nie mających nic wspólnego z życiem miejscowym, które oglądał jakby przez szybę. Wreszcie Anglia oddzielona jest od reszty świata przegrodą religijną, posiadając nie tylko kościół narodowy, jak Szwecja czy Rosja, lecz i religię narodową: anglikanizm, znaną tylko w świecie mowy angielskiej i nie mającą nawet tak skromnej cechy uniwersalnej, jaką bądź co bądź mają luteranizm, kalwinizm i prawosławie.

Angielka, która wychodzi za Polaka, może być pełna dobrej woli przyswojenia sobie jego kulturalnego i ideowego dziedzictwa i przystosowania się do jego środowiska, może także cenić wiele w samym mężu, a nawet odczuwać się do niego nie tylko z miłością, lecz nawet z zachwytem. Ale podświadomie, będzie go mierzyć miarą angielską: dlatego wyszłam za niego za mąż, bo on jest zupełnie jak Anglik, zupełnie tak samo cywilizowany; a co do Polaków w ogóle, to wiem o tym, że oni są zupełnie jak Anglicy.

Angielska żona nie zrozumie w pełni swego męża, dopóki nie zda sobie sprawy z inności polskości i nie zrozumie, że pomimo tej inności polskość jest nie gorsza od angielskości, że jest piękna, oryginalna, bogata, godna miłości, potężna i wielka.

Do Polski żony-Angielki nie możemy zawieźć, a naprawdę z bliska można poznać polskość tylko w Polsce. Ale można na emigracji osiągnąć przynajmniej jedno: można pokazać żonie, że na Anglii świat się nie kończy i otworzyć jej oczy na to, że piękna, bogactwa, siły i wielkości potrafi także w życiu innych narodów.

W miejscu, gdzie pracuję, mam koleżankę Angielkę, pannę wykształconą, mającą za sobą studia uniwersyteckie. Panna ta nigdy dotąd nie była na kontynencie europejskim; dopiero w tym roku po raz pierwszy w życiu opuściła Anglię i spędziła urlop w Szwajcarii. Jest zupełnie przemieniona. Powiada, że to zetknięcie z nieznanym sobie światem, jakim jest życie innego narodu, było dla niej do głębi „exciting".

Anglik czy Angielka, którzy pomieszkają czas pewien poza Anglią, robią po niejakim czasie szereg odkryć, które dla nas są rzeczą oczywistą, ale które dla nich są czymś nieoczekiwanym i nowym. Robią odkrycie, że w danym nieangielskim kraju żyją miliony ludzi, którzy tam się urodzili i tam umrą i którym zgoła nie w głowie Anglia, którzy się Anglią wcale nie interesują i o niej nie myślą, którzy w Anglii nigdy nie byli i nie zamierzają być, a jeśli byli, to nie mają ochoty w niej zostać na stałe i zgoła nie są nią zachwyceni — a jednak są to ludzie szczęśliwi, i porządni, i rozumni. Że życie tego kraju jest życiem kompletnym i pełnym, równie kompletnym i pełnym, jak życie angielskie; że można w danym kraju ukończyć szkołę powszechną, zarówno jak uniwersytet, że można w nim kupić wykonane na miejscu i to w pierwszorzędnym gatunku zarówno bułkę, tabliczkę czekolady, mydło, proszek do prania, czy kapelusz, jak samochód, maszynę do pisania czy aparat telewizyjny, że można w języku tego kraju znaleźć książki, i to wyśmienite, na każdy, dający się pomyśleć temat, że można tam pójść do teatru czy kina na filmy i sztuki najczyściej miejscowe. Że ludzie interesują się tam własnymi sprawami, pasjonują się zagadnieniami swego własnego życia politycznego, swymi własnymi sensacjami gazetowymi, swymi własnymi asami sportowymi, gwiazdami filmowymi i bohaterami procesów sądowych, swymi własnymi kłopotami, i nadziejami gospodarczymi, mają swoje własne gusta, własny odcień mody, własne ulubione tańce, własną kuchnię, własne zwyczaje i obyczaje, własne poglądy o tym, co wypada, a co nie wypada, a nawet własne pojęcia moralne. Że wreszcie swoją ojczyznę namiętnie kochają.

To niesłychanie otwierające oczy przeżycie! Cały świat — i ta wyspa — ukazują się w zupełnie nowej perspektywie.

Może dlatego wycieczki do Rosji robią na niektórych Anglikach tak wielkie wrażenie, że Anglicy ci nie byli przygotowani na zapoznanie się z życiem obcego kraju i są urzeczeni, jak objawieniem, jego odmiennością i żywotnością. Takim samym objawieniem jest poznanie Francji, Włoch, Niemiec czy Szwajcarii.

A gdy się zrozumiało, że obok Anglii istnieje jakiś wielki kraj, wytrzymujący, jeśli nie materialną potęgą, to wewnętrzną treścią swego życia z Anglią porównanie, to już nie trudno zrozumieć, że istnieją także i inne. Że istnieje także i — Polska.

Do zrozumienia Polski i polskości droga najlepsza dla młodej Angielki, żony Polaka, prowadzi przez Francję lub Włochy — skoro nie można pojechać na Wawel, na Rynek Staromiejski w Warszawie, do Łowicza i do Zakopanego.

Oczywiście, jeszcze lepiej jest nie ograniczyć się do pokazania obcego kraju — lecz pokazać także i to, co stanowi odblask dziejów Polski.

W Anglii prawie nie ma ech polskiej historii, ale na kontynencie jest ich pełno. Na przykład w Wiedniu można pójść na pole bitwy Sobieskiego z Turkami. A w Rzymie do polskiego kościoła, w którym bywali polscy królowie i który łączy się wspomnieniami z mnóstwem polskich wydarzeń dziejowych. A w Paryżu pod pomnik Mickiewicza i pod polskie nazwiska, wypisane na Łuku Triumfalnym.

Istnieją miejsca nawet jeszcze ciekawsze.

Właśnie tydzień temu byłem w Nancy, dawnej stolicy udzielnego państwa, jakim była Lotaryngia, w której panował polski król-wygnaniec, Stanisław Leszczyński.

Każdy Francuz stwierdzi bez wahania, że Nancy jest jednym z najpiękniejszych miast we Francji, a Place Stanislas w Nancy jest jednym z najpiękniejszych we Francji dzieł architektury miejskiej. A każdy nancejczyk stwierdzi, iż Nancy jest dlatego tak piękne, ponieważ je Leszczyński tak pięknym uczynił.

Jest w Nancy tyle polskich orłów, co w Gdańsku, a więcej (proporcjonalnie) niż w Warszawie. Na pięknym i wspaniałym pomniku króla na Place Stanislas, obok napisu: „Stanislas Leszczyński, Roi de Pologne, Duc de Lorraine", widzimy imponującą listę tego, co ten mądry, gospodarny, miłosierny, pobożny, hojny, dobroczynny, a zarazem obdarzony kulturą i dobrym smakiem artystycznym monarcha dla Lotaryngii i Nancy uczynił. W kościele Bon Secour możemy się pomodlić u jego grobu, a zarazem u grobu jego żony, a raz u serca jego córki, królowej francuskiej a także u grobów Polaków, którzy stanowili jego dwór. Znajdziemy w mieście klasztory, w których ongiś czynni byli polscy zakonnicy. Znajdziemy mnóstwo instytucji naukowych, oświatowych, dobroczynnych, kościelnych, które polski król założył. Na każdej ulicy spotkamy jakieś „Boulangerie Stanislas", „Crémerie Stanislas", „Café Marie Leszczynska", wszystko wypisane dobrą pisownią i świadczące o mocnych polskich tradycjach. Znajdziemy tam i dzisiaj niewielką polską kolonię, z polskim księdzem, polskimi nabożeństwami, polskimi stowarzyszeniami.

A jakież to urocze miasto! Duże, większe od Bydgoszczy, mało co mniejsze od Wilna, z teatrem, uniwersytetem, położonym nad zieloną rzeką, otoczone winnicami, niezbyt odległe od gór Wogezów. Cóż za wymarzone miejsce na spędzenie urlopu, lub na podróż poślubną! Można w nim zamieszkać wśród Francuzów — a oddychać powietrzem polskiej historii i kultury.

Bo wiozą swą żonę-Brytyjkę na kontynent, trzeba się w życie kontynentu naprawdę zanurzyć. Nie należy jechać wraz z angielską wycieczką — „conducted tour" — i być oprowadzanym przez angielskiego przewodnika, być obsługiwanym przez ludzi, co sobie zrobili proceder z eksploatowania Anglików, podróżować w tłumie angielskich panius, nie ciekawych rzeczywistego angielskiego życia i w rygorze stadnym, pić stale rytualną angielską herbatę. Trzeba się zmieszać z Francuzami, zamieszkać we francuskim pensjonacie, pożyć francuskim życiem, odciąć się od Anglii zupełnie. Zobaczycie jakie to miłe — i jakie to na Waszej żonie zrobi wrażenie.

Naprawdę! Radzę Wam, zawieźcie Wasze żony do Nancy.

POLONUS

WIELKA ROLA MIKROFILMU

Wśród pozornie „pomniejszych" wynalazków naszej ery coraz większą rolę odgrywa mikrofilm. Za wynalazcę jego uważać należy George McCarthy'ego, skromnego w owym czasie biuralistę nowojorskiego, za datę wynalazku rok 1924, względnie 1925, kiedy McCarthy wraz ze swym towarzyszem technikiem wniósł podanie o patent dla swego wynalazku. Ale — jak przypomina Don Wharton w „Reader's Digest" — już w czasie wojny prusko-francuskiej roku 1870 użyto czegoś w rodzaju prymitywnego mikrofilmu dla przekazywania wiadomości i listów do oblężonego przez Niemców Paryża. W Tours drukowano te listy i biuletyny; około 3.000 fotografowano następnie na kliszy szklanej wielkości biletu wizytowego. Fotografie te przenoszono potem na cienkie błony, które przymocowywano do skrzydeł gołębi pocztowych. W Paryżu listy przenoszono następnie na ekran przy pomocy aparatu projekcyjnego; urzędnicy kopiowali je na blankietach telegraficznych, które później doręczano adresatom. Niemcy zestrzelili pewną ilość gołębi ogniem karabinowym i atakowali inne gołębie przez wypuszczanie wytresowanych sokołów. Ogółem jednak Francuzom udało się przekazać tą drogą do oblężonego Paryża 115.000 listów, z których każdy, w myśl przepisów, miał 20 słów.

Don Wharton omawia szerokie zastosowanie, jakie znalazł mikrofilm, którego używa się obecnie w bankach, biurach, urzędach, w bibliotekach, muzeach i wielu innych dziedzinach. W Wielkiej Brytanii „mikrofilmowane" są obecnie prawie wszystkie gazety; na całym świecie liczba takich dzienników wynosi obecnie około czterech tysięcy. British Museum podjęło ogromne zadanie „zmikrofilmowania" 24 milionów egzemplarzy gazet, wydawanych w ciągu ostatnich 150 lat. Gotowe są m. in. komplety „Timesa" od chwili jego założenia w r. 1785 po rok 1954; szesnaście takich kompletów poszło do samej tylko Ameryki.

Jak mało miejsca takie kolekcje mikrofilmów zajmują, świadczy fakt, że komplet „New York Herald Tribune" za pierwszych sto lat, który w normalnych rozmiarach ma 181.571 stóp sześciennych objętości, zmieścić się może w skrzyni wielkości małej szafki do książek.

Biblioteka Kongresu Amerykańskiego, paryska Bibliothèque Nationale i inne księgozbiory za niską opłatą dostarczają każdemu na zamówienie mikrofilmów każdej książki, czy dokumentu, znajdującego się w ich zbiorach.

Mikrofilm oddaje ogromne usługi i bibliotekom i uczonym i politykom. Biblioteka Kongresu Amerykańskiego sfilmowała archiwa japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych począwszy od r. 1868. Uniwersytet w St. Louis „mikrofilmuje" watykańską kolekcję manuskryptów, obejmującą 60 tysięcy tomów, z których każdy zawiera od 10 do 100 manuskryptów. Sfilmowano wszystkie protokóły posiedzeń Senatu miasta Hamburga, które prowadzone były od r. 1740. Specjalne ekspedycje filmują zbiory starożytnych rękopisów znajdujące się w Jerozolimie i w jednym z klasztorów na zboczach góry Synaj.

50 LAT FILMU WŁOSKIEGO

Film włoski odegrał dwukrotnie niemałą rolę w rozwoju sztuki filmowej a osiągnięcia jego stały się dorobkiem, z którego czerpie cały świat. Będzie więc słuszne przyjrzeć się jego rozwojowi w okresie pięćdziesięciolecia.

Warunkiem uruchomienia poważnej produkcji filmowej są tzw. studia. I tak w roku 1905 architekci rzymscy Santoni i Alberti budują pierwsze studio filmowe w Wiecznym Mieście. W rok później Arturo Ambrosio i Pasquali budują studio następne. Pierwsze przybiera nazwę „Cines", drugie „Ambrosio".

W roku 1908, z chwilą, gdy sfery przemysłowe i arystokratyczne zainteresowały się kinematografią powstają wciąż nowe wytwórnie a ożywia się produkcja filmowa.

Nagrodzony 10-minutowy film pt. „Szlachetny pies", wykonany w studio Ambrosio w roku 1906, można uważać za pierwszy film włoskiej produkcji, o którym warto wspomnieć.

Okres lat 1907-1914 w produkcji włoskiej można by nazwać „okresem wybitnych filmów historyczno-kostiumowych", gdyż powstały wówczas takie filmy jak „Katylina", „Anita Garibaldi", „Lukrecja Borgia", „Ostatnie dni Pompei", „Quo Vadis" — reżyserii Enrico Guazzoni. Pracują już dla filmu najwięksi pisarze ówczesnych Włoch, pojawia się wiele gwiazd filmowych jak: Francesco Bertini, Lina Cavalieri, Emilio Ghione, Maciste.

System lansowania gwiazd filmowych ma swój początek we Włoszech a nie w Hollywood, jak się przeważnie przypuszcza. Znakomite filmy amerykańskie: „Narodziny narodu" i „Nietolerancyjność" wykonane przez D. W. Griffith'a, powstały pod wpływem włoskich filmów historyczno-kostiumowych.

Okres międzywojenny nie zaznaczył się niczym wybitnym w kinematografii włoskiej. Druga wersja „Quo Vadis" reżyserii Georg Jacoby z Emil Jannig-s'em w roli Nerona, nie była sukcesem ani artystycznym ani finansowym. Pomoc państwa dla przemysłu filmowego i to dosyć znaczna, nie wpływa dodatnio na rozwój produkcji. Produkcja „filmów patriotycznych" zainicjowana przez faszyzm może wykazać się zaledwie dwoma czy trzema udanymi obrazami jak: „Pilot Luciano Serra" (1938) i „Strzał pistoletowy" (1942).

Film „Scypion Afrykański" — jest mimo olbrzymich kosztów filmem przeciętnym. W latach 1933-38 studia włoskie wypuszczają na rynek zaledwie po 30 filmów. Ponad 65 procent filmów wyświetlanych na ekranach włoskich w tym okresie stanowią obrazy amerykańskie, ponad 25 procent pochodzi z krajów innych, zaś produkcja włoska stanowi zaledwie około 10 procent.

Dopiero wojna zmienia sytuację. Zza granicy nie sprowadza się już filmów w związku z restrykcjami wojennymi. Ilość wyprodukowanych filmów włoskich wzrasta. Rok 1939 daje ich 84, następny — 68, 1941 — 90, 1942 już 119.

Odrodzenie artystyczne filmu włoskiego następuje po zakończeniu drugiej wojny światowej. Krytycy ogłaszają, że film włoski wysunął się na czoło produkcji światowej. Nieomal zapomniany przez świat, od 25 lat nie pojawiający się prawie wcale na ekranach zagranicznych, święci niespodziewane tryumfy. Włoski realizm nazywany też neo-realizmem, sięgnął po surowy materiał życia powojennych Włoch, życie to traktuje na serio, grają niezawodowi aktorzy. Realizm i humanitaryzm!

Filmem, który ten przewrót zapoczątkował, był obraz stworzony przez reżysera Roberto Rossellini: „Rzym miasto otwarte". Przedstawia on prawdziwą atmosferę wypadków w Rzymie w czasie niemieckiej okupacji. Rossellini robi kilka innych dobrych filmów, m. in.: „Paisa" i „Stromboli", jednak najwyższym jego osiągnięciem pozostał „Rzym miasto otwarte". Pojawiają się inne filmy „realistycznej szkoły włoskiej". Najwybitniejszy z nich to „De Sica" i „Złodzieje rowerów" (1948), Luigi Zampa: „By żyć w pokoju" i „Posłanka Angelina". Obok produkcji, która ma na uwadze przede wszystkim służbę sztuce, istnieje duża produkcja obliczona raczej na zysk, mająca na swym koncie takie filmy jak „Fabiola", „Ostatnie dni Pompei" (jedna z licznych wersji tego sławnego tematu), „Eugenia Grandet", kilkanaście sfilmowanych oper z udziałem wielkich śpiewaków włoskich i inne.

Współpraca francusko - włoska wykorzystuje wspaniałe urządzenia miasta filmowego „Cinecitta". Pracują tu również Amerykanie, którzy nakręcili m. in. nową wersję „Quo Vadis".

Niemało aktorów włoskich zabrał Hollywood, podobnie jak i reżyserów.

Ostatnio włoska produkcja filmowa stwarza wiele nowych filmów, nie ma wśród nich jednak obrazów odpowiadających wartością filmom, o których wyżej mowa.

Stefan Legeżyński

LISTY DO REDAKCJI

„CERKIEWNA" DELEGACJA W ANGLII

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 791 z dnia 24 sierpnia paryskiej „La Pensée Russe" w korespondencji pod tytułem „Po ich odjeździe" umieszczono rozważania na temat wycieczki prawosławnej delegacji cerkiewnej na Zachód. Podaję je w streszczeniu.

Jak wiadomo, sowiecka tzw. cerkiewna delegacja, składająca się z przedstawicieli Cerkwi prawosławnej, Kościoła luterańskiego i Baptystów, pod przewodnictwem prawosławnego metropolity mińskiego i białoruskiego Pitirima odwiedziła Szkocję, była w Londynie, w Cambridge, Oksfordzie i powróciła rada z wycieczki i z siebie.

Nasuwa się pytanie — mówi autor korespondencji — czy byłoby do pomyślenia ongiś, aby przedstawiciel Cerkwi prawosławnej stał na czele delegacji kościelnej, do której wchodziliby jako członkowie przedstawiciele wyznań nieprawosławnych? Nasuwa się zaś to pytanie nie z wrogości dla Kościoła prawosławnego ani też w wyniku lekceważenia przedstawicieli innych wyznań, lecz tylko z punktu zgodności tego zdarzenia z kanonami Cerkwi prawosławnej.

Pytanie to znajduje odpowiedź w fakcie — czytamy dalej — iż delegacja, o której mowa, nie była delegacją rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, nie była nawet delegacją patriarchy moskiewskiego (chociaż wysłano ją za jego zgodą i sformowana była przy jego współdziałaniu) a była delegacją Komitetu dla Spraw Kościołów (Kultów) przy Radzie Ministrów ZSSR. Wobec tego metropolita Pitirim był tylko przewodniczącym delegacji posłanej do Wielkiej Brytanii przez organ sowiecko-komunistycznej ateistycznej władzy. Protojerej (kanonik) A. Karpenko w nrze 3 (54) kwiecień-maj 1955 r. pisma „Cerkowny Wistnik", wydawnictwa Zachodnio-Europejskiego Prawosławnego Egzarchatu, w artykule „Tajna cerkiew" pisze: „Po przekonaniu się o niemożności zniszczenia Kościoła bezbożną propagandą, władcy Kremla zdecydowali się na kompromis — bezwarunkowo czasowy — pokoju-unii, oczywiście na warunkach wzajemnych usług. Rząd ateistyczny postawił sobie za cel nie odrzucać Cerkwi, a wciągnąć ją w ogólny sowiecki system i przekształcić ją w oręż komunistycznej propagandy: tym sposobem wyższa hierarchia jest wciągnięta w plan polityki sowieckiej."

Właśnie zgodnie z tym planem była skierowana do Wielkiej Brytanii „cerkiewna" delegacja. Trzeba przyznać — mówi korespondent — że wywiązała się ona nieźle z wyznaczonego sobie zadania i nie należy się dziwić, jeśli jej członkowie będą odznaczeni za wykonanie „patriotycznych zadań rządu" (i rozumie się także i rządzącej partii), jak to już po raz drugi odznaczony był orderami patriarcha Moskwy i całej Rusi, za działania wbrew narodowi rosyjskiemu i jego Cerkwi. Podobnie odznaczony został niedawno metropolita Mikołaj Krutickij.

Dla nas, emigrantów, zabrzmiał jak propaganda wywiad z metropolitą Pitirimem, drukowany w „Daily Mail".

Metropolita oświadczył, że Cerkiew w ZSSR nie podlega teraz prześladowaniom, że organizuje się domy modlitwy(?) i nawet remontuje się stare cerkwie, jak np. w Moskwie chram Wasilia Błażennago na Krasnej Płoszczadi, że duchowni w ZSSR posiadają automobile i są we wszystko kompletnie wyposażeni. Dużo jeszcze mówił w tym sensie gadatliwy dostojnik kościelny z ZSSR. Wierzący emigranci zadawali mu różne pytania, ale ani te pytania ani też odpowiedzi przewodniczącego delegacji nie zostały opublikowane. Ktoś powiedział np.: „Mówicie, że Cerkiew w ZSSR nie podlega teraz prześladowaniu, że duchowni posiadają nawet samochody, że są rzekomo dostatecznie zabezpieczeni materialnie. A proszę powiedzieć, gdzie są te dziesiątki tysięcy kleru, tych duchownych aresztowanych w czasie 37 lat istnienia władzy sowieckiej i zesłanych do łagrów?

Metropolita opuścił oczy, raptem się zakrztusił, poczuł się nie bardzo dobrze i odpowiedział:

„Zadajecie mi pytania polityczne, związane z czynnościami rządu. Nie jesteśmy upoważnieni do odpowiedzi na takie pytania, my do spraw polityki nie wtrącamy się"...

Spytano więc znowu metropolitę, czy w odrestaurowanym chramie Wasilia Błażennago znów będą się odbywać nabożeństwa, jako że w opublikowanym wywiadzie jest mowa o remontowaniu kościołów w ZSSR?

„Nie, nie — pośpiesznie odpowiedział metropolita — w chramie Wasilia Błażennago będzie muzeum starożytności, nie będzie w nim nabożeństw."

Jakby na potwierdzenie tych słów — „Times" umieścił w końcu lipca fotografię remontującego się soboru z osłaniającym go rusztowaniem. Dziwnym zbiegiem okoliczności zupełnie taka sama w tejże skali fotografia znalazła się na łamach wydawanego po angielsku „Soviet Weekly".

Warto dodać, że duchowni prawosławni mieli na sobie odznaczenia z ukończenia Duchownej Akademii, ustanowione za czasów Mikołaja II.

E. R.

WIECZORY LITERACKIE

O LITERATURZE EMIGRACYJNEJ

Dnia 22 września w Instytucie Historycznym gen. Sikorskiego odbył się, staraniem Związku Pisarzy na Obczyźnie, wieczór odczytowy poświęcony 15 latom literatury polskiej na emigracji.

Po słowie wstępnym wygłoszonym przez dr. T. Terleckiego zabrał głos Jan Bielatowicz. Omawiając tło ogólne twórczości zwrócił uwagę słuchaczy na przewagę esseju, jako środka wyrazu artystycznego używanego przez pisarzy emigracyjnych oraz brak odpowiedniej krytyki literackiej — pomijając, w omówieniu swoim dramat i poezję, które, jak twierdził, mają być tematem następnych tego rodzaju wieczorów.

Herminia Naglerowa omawiając polską książkę o Rosji Sowieckiej, położyła szczególny nacisk na unikanie patosu wśród pisarzy, którzy osobiście zetknęli się z krajem „ponurej anegdoty", gdyż doznań goryczy i bólu wyniesionego przez „ludzi stamtąd" nie mogą oddać żadne, choćby najbardziej wzniosłe słowa.

Barbara Toporska z podziwu godną „konsekwencją" zaczęła robić porządki w emigracyjnej literaturze. Zacząwszy od wywalenia otwartych wrót, „żeśmy wojnę przegrali" poprzez tak dzisiaj modne neurozy i kompleksy, obarczając nimi wszystkich pisarzy emigracyjnych, i dając wspaniałe lekarstwo w słowach (cytuję z pamięci): „trzeba się ich pozbyć", ratując emigracyjną literaturę od „nieżyciowości" cenną receptą odsunięcia się pisarza od otoczenia, dochodzi Toporska do dwóch zdumiewających konkluzji: pierwszej, że jedyną zasługą emigracji dla literatury jest odtrącenie Miłosza i drugiej, że gdyby Janusz Kowalewski odrzucił (wedle podanej wyżej recepty) wszystkie swoje neurozy, uprzedzenia i kompleksy, gdyby odsunął się od otoczenia, więcej — gdyby przestał być Januszem Kowalewskim, to napisałby dużo lepszą książkę. Co do pierwszej konkluzji autorka zapomniała widocznie o książkach Miłosza na półkach księgarń i bibliotek polskich i obcych oraz recenzjach o nich ukazujących się w pismach emigracyjnych; co do drugiej — obawiam się, że gdyby Janusz Kowalewski posłużył się receptą Barbary Toporskiej, to książka „O żołnierzu ciułaczu" nie doszłaby nigdy do naszych rąk.

Z powodu nieobecności B. Toporskiej referat odczyła z odpowiednią do treści pasją p. Włada Majewska.

Jan Ostrowski dał pierwszą chyba tego rodzaju próbę ujęcia i sklasyfikowania pisarzy emigracyjnych od strony ideowo - filozoficznej. Omawiając poszczególnych autorów, podkreślił stałe choć powolne zwracanie się większości pisarzy bądź to do socjalizmu humanistycznego bądź ku filozofii tomistycznej.

Janusz Kowalewski mówiąc o dolach i niedolach pisarza emigracyjnego skarżył się w swoim lekkim iskrzącym się od świetnych anegdot i powiedzeń referacie na brak spokojnej głowy i pustą kieszeń, tych dwóch tak niezbędnych „rekwizytów", koniecznych w twórczości literackiej.

Wyjątkowo tłumnie przybyła publiczność potwierdzałaby optymistyczną ocenę drugiej „pięciolatki" naszej literatury uchodźczej a Janusza Kowalewskiego powinna natchnąć nadzieją, że miłość emigracji do literatury stanie się w końcu popłatna dla pisarza.

K. S.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 0734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawicielstwa naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77 Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kulakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Księgarnia Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Slapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: a) K. Siapak, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto. NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück. Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Lubiński, Krogsgatan 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 0734.